POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 23-go października 1943r.*** — **Rok V. Nr. 42**

MILCZENIE JEST ZŁOTEM

"Gdybyś milczał uszedłbyś za filozofa" — powiada łacińskie przysłowie.

Gdybyś milczał uszedłbyś za żołnierza — przystosować je można do chwili obecnej. Bowiem żołnierz prawdziwy nie jest gadułą. Chwali się swymi "przewagami" przy akompaniamencie brzęku ostróg . . . tylko Papkin. Opowiada o szczegółach czysto wojskowych, o przydziale, uzbrojeniu, miejscu postoju, stanie liczebnym i t.d. — tylko głupiec lub człowiek wysoce lekkomyślny. Żołnierz milczy.

W ubiegłej wojnie Francja przegrała pierwszą ofensywę w Szampanii, ponosząc bolesne straty, bo jeden z ministrów wygadał się przed swą kochanką. Kochanka była szpiegiem, ale winien był minister. Gdyby milczał . . .

Kapral wojsk pancernych przybyły na urlop do Londynu opowiada pierwszemu napotkanemu rodakowi o swym czołgu, o stosunkach w brygadzie, o uzbrojeniu i szkoleniu. Jest dumny i chce się pochwalić z wyborowego oddziału, w którym służy. Ale takie fałszywe poczucie "*ésprit de corps,*" wspólnoty oddziałowej, prowadzi do klęski.

Marynarz schodzi z okrętu, spotyka dziennikarza. Ten drugi jest ciekawy. Ten pierwszy lubi opowiadać. Rezultat: śmiertelne niebezpieczeństwo dla okrętu.

Oficer pisze do żony, że wyjeżdża na daleką i długą operację. Właściwie nie popełnia żadnej niedyskrecji: nie pisze gdzie, kiedy, dokąd i jak. Ale oficer ten był poprzednio na urlopie. Widziano go w miasteczku. Wiadomo do jakiej formacji należy. Niespokojna o los męża żona zwierza się sąsiadce. Sąsiadka, pełna współczucia, opowiada znajomym. Rezultat: wywiad nieprzyjacielski otrzymuje wiadomość, że taka i taka formacja przeznaczona jest do operacji zamorskiej. Nieprzyjaciel postara się jej zgotować odpowiednie przyjęcie.

Dziennikarstwo jest rzeczą piękną i pożyteczną. Ale źle jest, jeśli obowiązek dziennikarski stawia się przed obowiązkiem zachowania tajemnicy wojskowej. Bóg jeden wie, ile krwi kosztowały już aktualne sensacje dziennikarskie.

W prasie niemieckiej nie było słowa o spodziewanym najeździe w Danii, Norwegii czy Holandii. Nigdy prasa ta nie omawiała z góry zamierzonych operacji wojskowych. Dlatego Niemcy uzyskiwali całkowite zaskoczenie, operując z minimum ryzyka i strat. A zaskoczenie, to już połowa powodzenia.

Nie inaczej jest z prasą sowiecką. Jest ona tak oględna pod względem wojskowym, że poświęca nawet stronę propagandową i faktyczną tej tajemnicy. Woli przemilczeć sukces, niż zdradzić cokolwiek z samej operacji. Dopiero po dłuższym czasie podaje niektóre dane, mniej lub więcej ścisłe, ale nigdy nie sprzeczające się z zasadniczym pojęciem tajemnicy wojskowej.

Nie można tego powiedzieć o prasie sojuszniczej, szczególnie zaś o amerykańskiej. Pogoń za aktualnością i sensacją wytwarza stek informacji częściowo prawdziwych, częściowo zupełnie zmyślonych, nieraz wprost naiwnych, ignorujących zasadnicze podstawy sztuki, nauki czy organizacji wojskowej, ale zawsze szkodliwych. Tak czy inaczej nieprzyjaciel z tych informacji korzysta.

Źle jest jeśli panienki w lokalach rozrywkowych wiedzą lepiej o zapowiedzianych ruchach wojsk, niż zainteresowany żołnierz czy marynarz. Taka siła zbrojna wojny nie wygra. A jeśli, to kosztem kolosalnych strat własnych.

W Polsce ukrywano przed szerokim ogółem numery pułków i miejsca ich postoju. Nie pozwalano na sfotografowanie okrętu czy parowozu. Ale ważne szczegóły z dziedziny dyslokacji, mobilizacji, uzbrojenia i t.d. przenikały w szalenie łatwy sposób do wywiadu nieprzyjacielskiego. Szpiegom pomagali bezwiednie przez swe gadulstwo sami wojskowi. Czy który z tych niepoprawnych gaduł pomyślał, że stał się może przyczyną śmierci lub kalectwa kolegów?

Zastanówmy się przez chwilę na czym zachowanie tajemnicy wojskowej polega. Oczywiście nie na tym, aby w czasie pokoju kasować oznaki i numery formacji, pisać: "stacjonowany w N. pewien pułk kawalerii zdobył pewną nagrodę," a potem znajdywać u poczciwego kupca papierek: "Kwatermistrz 28-go pułku ułanów w Pohulance stwierdza, że p. Hilary Pogódka dostarczył dwie beczki miodu do kasyna pułkowego" . . .

Zachowanie tajemnicy, szczególnie w czasie wojny, to nie formy zewnętrzne, ale zasadnicze unikanie wszelkich tematów wojskowych w rozmowie czy w korespondencji prywatnej. Nie dotyczy to oczywiście wiadomości już opublikowanych w prasie. Z drugiej jednak strony prasa, nawet bez cenzury /często omylnej/ powinna zachować najdalej idący umiar.

Jest rzeczą pewną, że gdyby w przeciwieństwie do tego co się stało, flota włoska przeszła do portów niemieckich, to z pewnością nie dowiedzielibyśmy się ani kiedy to nastąpiło, ani ile okrętów nadpłynęło, ani tym bardziej do jakich portów. Gadulstwo publicystyczne w szeregach sprzymierzonych sprawiło, że Włosi stracili kilka okrętów, sporą ilość ludzi, a ponadto część okrętów zawinąć musiała do portów obcych. Tajemnica wojskowa została tu naruszona już przez "sensacje polityczne" przedwcześnie opublikowane.

Jest jeszcze jedna dziedzina gadulstwa: gadulstwo sentymentalne — może najgroźniejsze ze wszystkich. Polega ono na tym, że dany osobnik, aby zdobyć serce ukochanej, czy też zaimponować jej już po zdobyciu, chwali się swymi "przewagami" stylem pana Zagłoby. Oczywiście wyczyn może być wytworem fantazji, ale prawdziwe są okoliczności towarzyszące, nazwy formacji, miejsce, czas i t.d. Ta droga, od czasu wojny trojańskiej, była zawsze najłatwiejsza dla wywiadu nieprzyjacielskiego: czegóż bowiem nie wypaple taki "byczy samiec" przed ukochaną kobietą.

Milczenie w rzeczach wojskowych jest tylko kwestią poczucia obowiązku i odpowiedniego wychowania. Raz wdrożone — jest dochowywane automatycznie. Nauczony milczeć nie reaguie na podniety i zachowuje daleko posuniętą czujność. Czujny żołnierz zdemaskuje szpiega, ale też odpowiednio pouczy każdego niedyskretnego interpelanta. W ten sposób wpłynie z kolei wychowawczo na społeczeństwo. Tajemnica wojskowa, rodzona siostra zaskoczenia, jest jedną z pewniejszych dróg do zwycięstwa.

Czy trzeba przykładów, jak zachowuje się żołnierz lub marynarz, szukać aż u wroga? Niemieccy jeńcy odpowiadają zwykle tylko na pytania, do których w myśl konwencji międzynarodowych są obowiązani. Japończycy w ogóle milczą . . .

Polacy, którzy przybyli z Rosji wiedzą dobrze, że z "bojca" czy "komandira" sowieckiego nawet w koleżeńskiej rozmowie nie można było nic wydobyć o sprawach służbowych. Mógł być najprzyjaźniej usposobiony, wypić nawet, ale gdy chodziło o tematy wojskowe — milczał, trzeźwy czy pijany. Włożono mu milczenie łopatą do głowy.

Parę wymownych słów na zakończenie. Gdy O.R.P. "Orkan" zatonął w walce z nieprzyjacielem, plotka powtarzała przeróżne nazwy okrętów polskich — od już dawno zatopionych do "żyjących" i walczących zwycięsko. Ile krzywdy i szkody wyrządzono tą gadaniną zarówno sprawie polskiej, jak i ludziom bliskim naszych marynarzy /troska o los załogi/, nie spisze na wołowej skórze.

"Mowa jest srebrem, milczenie złotem." Milczenie w sprawach wojskowych nie ma ceny! Natomiast ceną gadulstwa jest przelana niepotrzebnie krew, jest niewola, kalectwo i nędza. I dlatego żołnierz — żołnierz prawdziwy, taki, który obowiązek swój pojmuje poważnie, powinien umieć milczeć. Wojsko, ta "Wielka Niemowa" — bije się tym lepiej, im mniej mówi.

W jednym z biur *Intelligence Service* wisi następujący napis:

"A wise old owl lived on an oak,
The more she heard, the less she spoke,
The less she spoke, the more she heard,
Let us all imitate that bird."

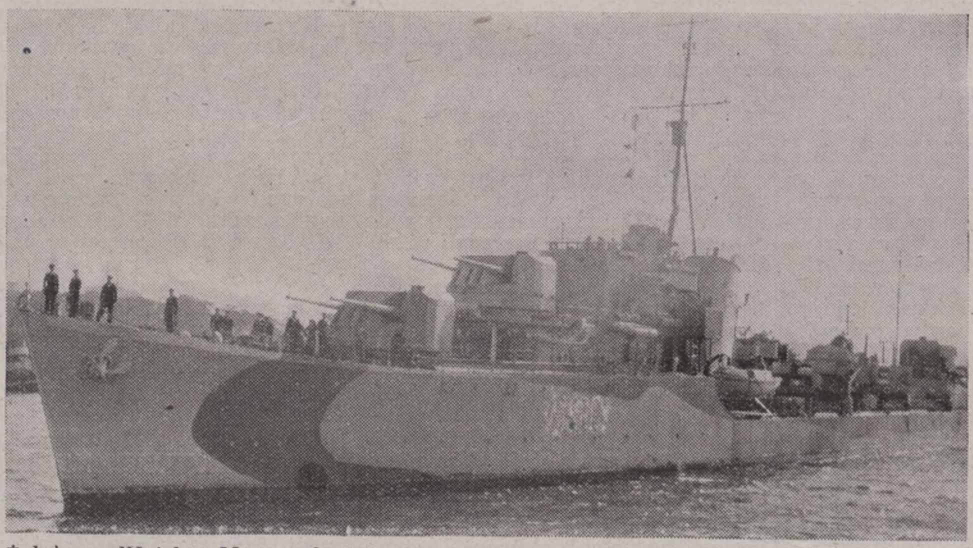
Co w przekładzie brzmi:

"Na dębie siedziała stara, mądra sowa,
Słuchała, ale zawsze skąpa była w słowa.
Im bdrdziej milczała, tym słyszała więcej,
Naśladujmy ten przykład mądrości ptaszęcej."

Oto wierszyk, który należało by sobie powtórzyć zanim powie się głupstwo.

JULIAN GINSBERT

OKRĘT RZECZYPOSPOLITEJ "ORKAN" ZGINĄŁ W WALCE



Żołnierze Wojska, Marynarki i Lotnictwa,

Okręt Rzeczypospolitej Polskiej "Orkan" zatonął w walce z nieprzyjacielem w obronie konwoju. Na pokładzie naszego okrętu zginęło wielu dzielnych oficerów, podoficerów i marynarzy z dowódcą Komandorem Porucznikiem Hryniewieckim na czele. Uratowani wykazali hart i spokój.

Personelowi Marynarki Wojennej wyrażam serdeczne współczucie w imieniu własnym, Wojska i Lotnictwa.

Od początku wojny Polska Marynarka Wojenna walczy nieustannie w bitwie o morza i szlaki oceaniczne, która jest najwyższą próbą ludzkiej woli i wytrzymałości. O bitwie tej mówi się ze zrozumiałych względów mniej, aniżeli o innych zbrojnych czynach wojny.

Nasza Marynarka Wojenna poniosła niejedną bolesną stratę, ale jeszcze większe straty zadała wrogowi. Musi ona rosnąć w siłę i wrócić do Polski mocniejsza i zdolna zabezpieczyć Bałtyk, bogatsza w doświadczenie, uzbrojona w przyjaźń pierwszego morskiego narodu świata.

Nie potrzebuję zachęcać polskich marynarzy do dalszej walki i wzywać ich, aby pomścili śmierć "Orkana." Wiem dobrze, co żyje w ich sercach i myślach.

Okręt Rzeczypospolitej "Orkan" spełnił do końca swój obowiązek.

Naczelny Wódz SOSNKOWSKI, gen. broni

O.R.P. "Orkan" zatonął. I choć nie ma wojny bez strat, to jednak każde szczere serce polskie zadrży z żalu na wiadomość o stracie pięknego kontrtorpedowca i większej części jego dzielnej załogi — z dowódcą na czele. Zaledwie skąpą pociechą może być lista uratowanych i słowa wypowiedziane przez jednego z nich, dziewiętnasto-letniego marynarza:

—"Największe moje zmartwienie, że nie mam okrętu. Ręka zagoi się za dwa tygodnie. Żeby tylko było na czym pływać . . ."

Słowa te winny być w przyszłości wypisane na murach Sejmu Rzeczypospolitej, jak w Rzymie Cyceronowskie: Navigare necesse est — vivere est non necesse.

"Orkan" wszedł na służbę w listopadzie roku ubiegłego. Pierwsze zadania operacyjne tego silnego kontrtorpedowca stanowiły osłony konwojów do Rosji. W czasie dwu takich konwojów kilkakrotnie walczył z samolotami i okrętami podwodnymi nieprzyjaciela, broniąc powierzonych mu statków z zaopatrzeniem dla wojsk sowieckich.

Potem "Orkan" brał udział w bitwie o Atlantyk. Patrole, eskorty i operacje oceaniczne zaprzątały go przez czas dłuższy. Gonił za niemieckimi "łamaczami blokady," ratował lotników, tropił okręty podwodne, eskortował najważniejsze jednostki floty brytyjskiej. Eskortował nawet trzykrotnie J. Kr. Mość Jerzego VI, raz w czasie inspekcji floty, dwa razy na drodze przelotu do Afryki i z powrotem.

Brał też udział w obronie przeciwlotniczej jednego z portów brytyjskich, w mniejszych akcjach na wodach angielskich, wreszcie przypadł mu w udziale smutny obowiązek przewiezienia z Gibraltaru trumny ze zwłokami Generała Sikorskiego.

Wszystkie operacje "Orkana" i okoliczności w jakich zginął, nie mogą być jeszcze podane do wiadomości publicznej. Są jednak podstawy do twierdzenia, że nieprzyjaciel za ten przemijający sukces zapłacił dość drogo. Do połowy czerwca r.b., t.j. odliczywszy okres próbny, "Orkan" miał 12 spotkań z lotnictwem nieprzyjaciela i 17 z okrętami podwodnymi. Rezultatów również podać nie możemy, jednak wiadomo, że wyłowił z wody i dostarczył do Anglii 41 jeńców z zatopionych niemieckich okrętów podwodnych.

27 lutego r.b. "Orkan" w eskorcie konwoju do Rosji przeszedł przez miejsce, gdzie w maju 1942 "Garland" w obronie takiegoż konwoju stoczył krwawy bój z samolotami nieprzyjaciela. Zginęło wówczas 25 marynarzy "Garlanda" a wielu oficerów i marynarzy zostało rannych. Przechodząc przez miejsce walki dowódca O.R.P. "Orkan" zarządził zbiórkę, po czym odmówiono wspólną modlitwę za poległych i pochowanych w morzu marynarzy.

Dziś ten sam los spotkał większość oficerów, podoficerów i marynarzy "Orkana." Chylimy czoła przed tymi Ofiarami Obowiązku, niestrudzonymi bojownikami za wolność Tej, co nie zginęła. Ale jasne jest, że "Orkan" nie tylko musi być pomszczony. Musi on być ODBUDOWANY. W myśl tradycji, istniejących we wszystkich marynarkach świata, nowy, może jeszcze lepszy okręt, musi przejąć nazwę zaginionego. Ad maiorem Patriae gloriam . . .

Temu dziewiętnasto-letniemu marynarzowi, żalącemu się, że nie ma na czym pływać — społeczeństwo polskie dać musi nowy okręt w tej czy innej, możliwej dziś formie. A możliwości te są duże, bardzo duże, dziś o wiele większe, niż w kraju, niż kiedykolwiek . . .

Szkic sytuacyjny

KONFERENCJA W MOSKWIE

Konferencja moskiewska zacznie się przypuszczalnie lada dzień. Delegacja amerykańska wyjechała szlakiem na Amerykę Płd., brytyjska zapewne inną trasą. Narady w stolicy Rosji przeciągną się, jak przewiduje prasa brytyjska, do końca października, a może nawet trwać będą do pierwszych dni listopada. "*Times*" z dnia 16-ego października donosi, że dyplomaci sowieccy wystąpią w nowych galowych mundurach. "*Daily Telegraph*" z tego samego dnia zaznacza, że program pierwszego zebrania został już ustalony.

Pisma sowieckie przedstawiły wcale wyraźnie stanowisko Rosji. Podkreśliły one, że dyskusja na temat granic jest zarówno nie na miejscu, jak nie na czasie; stwierdzono, że "*granice Rosji tak samo nie podlegają dyskusji jak granice Stanów Zjd.*" Oczywiście, chodzi tu o granice Rosji, jakie istniały przed starciem sowiecko-niemieckim. Rosja raz jeszcze powtarza, że te granice uważa za ostateczne. Sądzi ona również, że takie było jej stanowisko od jesieni r. 1939 i że ci wszyscy, co inaczej je interpretowali mylili się.

Czy Rosja zamierza rozmawiać na temat odbudowy powojennej? Pisma moskiewskie dają do zrozumienia, że tematy te — chociaż niewątpliwie ciekawe — nie są najpilniejsze. Wiadomo, że delegacja amerykańska wyjechała pod hasłem szerokiego programu gospodarczego i zastosowania "*Lend and Lease*" na wielką skalę. Moskwa wskazuje, że nie pora teraz jeszcze na rozważanie takich zagadnień. Najpilniejszą potrzebą jest "drugi front" /ściśle mówiąc: *front na Zachodzie*/, któryby odciągnął sporą ilość jednostek niemieckich ze Wschodu i umożliwił szybkie złamanie Rzeszy.

Rosji zależy na najszybszym zakończeniu wojny. "*The Economist*" z dnia 16.X. zaznacza w ciekawym rozbiorze, że Rosja chce zakończenia wojny najszybciej nie tylko dlatego, że straty jej w ludziach są tragiczne, ale i dlatego, że chce przystąpić do odbudowy kraju i że pragnie wyjaśnienia stosunków w Europie.

Przypuszczać więc należy, że Rosja wstawi do programu narad moskiewskich przede wszystkim sprawę otworzenia "drugiego frontu." Pisma moskiewskie oraz sprawozdawcy brytyjscy z Moskwy /jak n.p. Alexander Werth w komentarzu nadawanym przez radio brytyjskie dnia 17.X./ zaznaczają, iż to zagadnienie jest dla Rosji najpilniejsze i że ofensywa we Włoszech bynajmniej nie dokonała przesunięcia znaczniejszych sił niemieckich z frontu wschodniego. Rosja nie wierzy również, ażeby przeszkody i zapory na Zachodzie były tak poważne, iż mogłyby uniemożliwić uderzenie na Francję, na Holandię czy Belgię.

W przeciwieństwie do tego stanowiska "*Daily Express*" z dnia 16.X. wyraża pogląd, iż W. Brytania nie może "podjąć się otworzenia drugiego frontu, jeżeli nie będzie miała pełnej szansy powodzenia." Pismo to podkreśla, że *nie tylko nieudana próba ataku na fortecę europejską od Zachodu pociągnęłaby wielkie straty w ludziach oraz sprzęcie, ale że przez takie uderzenie rozkonspirowanoby sieć organizacyj podziemnych*, których celem jest przyjście z pomocą i wejście do akcji w chwili, gdy wojska sojusznicze uderzą od Zachodu. Dlatego sojusznicy, wywodzi "*Daily Express*," muszą czekać na chwilę kiedy będą mieli wszelką pewność, że akcja ich uwieńczona będzie powodzeniem.

Alexander Werth streszczając stanowisko Moskwy w komentarzu dla B.B.C. powiada, iż jeżeli by "drugi front nie został powołany do życia, to tego rodzaju zwrot nastroiłby Rosję niezbyt chętnie dla sprawy ugody i kompromisu i że wepchnąłby ten kraj w ramiona izolacjonizmu."

DZIAŁANIA WOJENNE NA WSCHODZIE

Wielkich zmian na froncie od czasu ostatnich notatek nie było. Zdobycie Zaporoża i boje w okolicach Witebska były omawiane w komunikatach sowieckich. Próby podcięcia frontu niemieckiego w dwóch punktach: na południu przez parcie na Melitopol i na północy przez szturmowanie Witebska, trwają dalej. Wydaje się, że lotnictwo sowieckie jest czynniejsze, niż dawniej i że nad Kijowem czerwona armada powietrzna daje się Niemcom we znaki.

Najbardziej pouczającym głosem w ostatnim tygodniu jest artykuł jaki pojawił się na łamach organu szturmówek S.S. "*Das schwarze Korps.*" Artykuł ten, przytoczony przez "*Times*" dn. 16.X. powiada w tonie obłudnym, że "Ukraina została wykorzystana," że "podbić Rosji nie można"/ z cyklu: wnioski spóźnione/, że wobec tego trzeba się cofać, powodować wykrwawianie się Rosji i czekać, aż "lewiatan sowiecki sam siebie pożre." Niewiadomo, jak sobie strateg z "*Das schwarze Korps*" wyobraża to samo-pożarcie Rosji. Przypuszczać jednak wolno, że jeżeli takie wywody pojawiają się na łamach organu S.S., to oznacza to, iż *społeczeństwo niemieckie przygotowuje się na dalszy odwrót na Wschodzie i że ani taka, ani inna linia nie jest ostateczna.*

Być może, że rozlewy jesienne, słota, konieczności przegrupowania armii i t.d. sprawiają, iż marsz sowiecki nieco się zatrzymał. Odwrót niemiecki — bombastycznie nieco określany przez propagandę Berlina jako "największy znany dziejom odwrót w ordynku," chociaż nikt nie może zaprzeczyć że operacja niemiecka była dokonaniem zastanawiającym — może przybrać znowu na sile i skracanie frontu może znowu się rozpocząć. Przypuszczać by zatem należało, że jeszcze przed nastaniem mrozów wojska sowieckie przystąpią do nowych akcyj zaczepnych.

WE WŁOSZECH

Pochód we Włoszech jest dalej wolny, przy czym skrzydło sojusznicze opierające się o Adriatyk posuwa się szybciej. Wiele wskazuje na to, że sojusznicy chcieliby zajść Rzym od strony wschodniej i zmusić w ten sposób armię niemiecką trzymającą się w okolicach Rzymu do odwrotu z całego pasa Kampanii rzymskiej.

Pisma amerykańskie zaznaczały, że wojska niemieckie chciałyby zwabić sojuszników na pola Kampanii, ażeby zniszczenie zabytków Rzymu spadło na nich, jednak wojska alianckie czynią wszystko, aby nie niszczyć skarbów historycznej ziemi włoskiej i ażeby osaczyć w taki sposób siły niemieckie, by były one zmuszone do wycofania się z Kampanii.

Wiele wskazuje na to, że nie mamy jeszcze ciągle takich sił lotniczych, któreby umożliwiły rzucenie do boju przygniatającej masy maszyn. Ofensywa prowadzona na linii rzeki Volturno jest ciągle jeszcze jakby nieśmiała. Przypuszczać wolno, że do pełnej ofensywy dojdzie w chwili, gdy potęga lotnicza sojuszników tak się wzmoże, iż jedno uderzenie systematycznie podtrzymywane złamie opór wroga i sprawi, że cofnie się on od razu nie o kilka, ale kilkadziesiąt kilometrów.

Na razie kampania włoska nie przybrała jeszcze na tempie.

SYTUACJA LOTNICTWA NIEMIECKIEGO

Doniesienia neutralne podkreślają, że największym brakiem armii niemieckiej jest jednak lotnictwo. Nie tylko produkcja niemiecka została podcięta przez naloty /ocenia ją sprawozdawca lotniczy "*Sunday Times*" w nrze. z dnia 17.X. *aż na* 30 *procent*/, ale również zasoby ludzkie gwałtownie się skurczyły.

Lotnictwo Rzeszy nie może opanować dzisiaj wszystkich frontów i zaspokoić wszystkich potrzeb. Jest faktem, że na skutek wołań opinii niemieckiej zasilono kadry obrony i że straty poniesione przez lotnictwo amerykańskie w czasie nalotów dziennych były poważne. Oczywiście, niemieckie doniesienia, że Amerykanie stracili w czasie jednego nalotu aż 120 maszyn, gdy ich straty przekroczyły 60, stanowią dowód, iż trzeba ogółowi niemieckiemu gwałtownie jakiejś zachęty i bodźca. Nie należy jednak przypuszczać, ażeby Rzesza stała u kresu swoich możliwości obrony.

Podkreślaliśmy już nieraz na tym miejscu, że Rzesza musi przestawić swoje plany i *że obrona lotnicza Reichu jest dzisiaj pierwszym zadaniem "Luftwaffe."* Istotnie, rozbudowa myśliwców nocnych oraz tworzenie potężniejszych myśliwców dziennych, sprawiły, że zadania zaczepne zostały poniechane. Rzesza nie buduje dzisiaj lotnictwa bombowego na tę skalę, na jaką budowała dawniej.

Nie tylko jednak trzeba stale wzmagać wysiłek obronny na niebie, ale również i cała sieć obrony lotniczej na ziemi przy pomocy dział zenitowych, reflektorów i t.d. musi zostać bardzo wzmocniona. Tutaj Rzesza zdobywa się na nowe wysiłki a jej zasoby ludzkie nie są bynajmniej jeszcze wyczerpane.

W tych warunkach naloty dzienne Amerykan muszą być kosztowne. Naloty nocne Anglików są o wiele mniej kosztowne, albowiem mają oni olbrzymie doświadczenie, a poza tym wiedzą, jak omijać zapory. W czasie dnia nie można sobie pozwolić na omijanie tych zapór — linie ataku są wyraźne prawie od początku, maszyny są ścigane już nad Kanałem La Manche, trzeba przejść istne "zasieki" obrony wszelkiego gatunku.

Amerykanie przyznają się do strat. Prezydent Roosevelt na niedawnej naradzie prasowej zaznaczył, że straty te powinny się nieco skurczyć, ale że są one usprawiedliwione przez potężne ciosy, jakie zadaje się za dnia niemieckiej maszynie wojennej. Nie należy zatem przypuszczać, ażeby Amerykanie przestraszyli się ponoszonymi stratami.

Londyn, dnia 17.X.1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

8 — 12 października: Naczelny Wódz gen. Sosnkowski przeprowadził inspekcję jednostek polskiego lotnictwa, stacjonowanych w różnych częściach wysp brytyjskich. Naczelny Wódz odbył podróż samolotem, pilotowanym przez polskiego lotnika.

9 października: W jednej z miejscowości szkockich odbyło się uroczyste zamknięcie V-go Kursu Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej.

10 października: Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz dekorował w Tulliallan Castle, w Szkocji, 4 wybitnych przedstawicieli społeczeństwa szkockiego i wojskowości — odznakami orderu "Polonia Restituta." Gen. Sir Andrew Thorne — dowódca okręgu szkockiego, Sir Patrick Dollan — b. Lord Provost Glasgowa i Sir Henry Steel — b. Lord Provost Edynburga otrzymali Komandorię z Gwiazdą a pułk. Harold Mitchell — Komandorię tegoż orderu.

11 października: W godzinach przedpołudniowych odbyło się uroczyste otwarcie czwartego roku akademickiego na Polskim Wydziale Lekarskim w Edynburgu. Na uroczystość tę przybył Prezydent R.P. w towarzystwie Min. W.R. i O.P. ks. prał. Z. Kaczyńskiego.

12 października: P.A.T. donosi w ślad za jedną z szwedzkich rozgłośni radiowych, że na terenie Szwecji lądował przymusowo bombowiec z załogą polską, która została następnie internowana.

13 i 14 października: Polskie lotnictwo myśliwskie przeprowadziło dalekosiężne patrole ofensywne. Wszyscy piloci polscy powrócili do baz.

14 października: Kierownictwo Marynarki Wojennej donosi o zatonięciu kontrtorpedowca O.R.P. "Orkan" w walce z nieprzyjacielem.

—Naczelny Wódz gen. Sosnkowski wydał rozkaz dzienny z powodu zatonięcia O.R.P. "Orkan" i stwierdził, że okręt do końca spełnił swój obowiązek.

16 października: Kierownictwo Marynarki Wojennej donosi, że O.R.P. "Sokół" zatopił na Morzu Śródziemnym dwa statki nieprzyjacielskie: jeden o pojemności 4.500 ton, drugi zaś 6,000 ton. O.R.P. "Sokół" ostrzelał również transportowiec wojskowy nieprzyjaciela o pojemności 1,500 ton, uzyskując wiele trafień.

—Polski myśliwski dywizjon rozpoznawczy wykonał lot na rozpoznanie żeglugi nieprzyjacielskiej. Wszystkie samoloty wróciły po wykonaniu zadania.

Nowości lotnicze

"Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna." W tej chwili toczą się między poszczególnymi państwami sprzymierzonymi gorące dyskusje na temat przyszłej organizacji lotniczej Europy. Holandia złożyła uroczyste oświadczenie, że żadne rozmowy na temat tej organizacji nie mogą być prowadzone bez jej uczestnictwa, Ameryka lansuje swój program, Wielka Brytania swój, Francja ogłasza w swych pismach artykuły wyrażające postulaty ogólno-francuskie tyczące tej sprawy. Rosja mało pisze, lecz buduje fabryki i przygotowuje sprzęt transportowy w wielkich ilościach.

Jednym słowem cały świat wrze, tymczasem w naszej emigracji sprawy wyborów w uwolnionej Polsce dalej górują nad wszelkimi zagadnieniami. Już wszystkim wiadomo, że o układzie powojennego świata decydować będą rozkłady baz, kontrole pewnych linii, rozwiązania zagadnień tak kapitalnych, jak "umiędzynarodowienie powietrza," udział poszczególnych narodów w międzynarodowych siłach lotniczych, u nas — po staremu o COP'ie, Gdyni, Dyrekcji Lasów Państwowych.

Niewątpliwie, zaściankowy żywot, jaki Polacy od wieków prowadzili, odsunięci od spraw polityki wielkoświatowej, nadmierna wskutek tego ilość specjalistów od zawiłej matematyki wojewódzkich wieców wyborczych, jest przyczyną małego zainteresowania polityką zewnętrzną, przy przykładaniu nadmiernej wagi do polityki wewnętrznej. Jednak to musi się raz skończyć. Dziś to już nie choroba, lecz grzech śmiertelny przeciw interesom Rzeczypospolitej. Polacy muszą oderwać się wreszcie od ukochanych personalii, a przyjrzeć się rzeczywistości, która powiada, że na skutek zmierzchu potęg morskich, na skutek rewolucji, jaką czyni w świecie górowanie lotnictwa nad morzem, na skutek tego, że właśnie ten fakt zwichnął cały dotychczasowy system europejski oparty na dominacji morza nad lądem — Polska ze swym centralnym położeniem w Europie wchodzi w sam środek zagadnień nie tylko już europejskich . . .

Dziś nie czas na personalia, nie czas także na kombinacje, jaka Polska będzie: taka czy owaka, czy jakaś inna. Prawdopodobnie nie będzie ani taka, ani owa. Będzie nowa. Jak nowa będzie Europa, jak nowa będzie myśl człowiecza postępująca wiecznie naprzód, nie oglądająca się wstecz na zagasłe wulkany starych idei. Budowa wewnętrzna Polski będzie zależna od jej sytuacji w Europie. Budowa wewnętrzna państwa jest też wynikiem jego sytuacji zewnętrznej. I dlatego popatrzmy wreszcie na to, co się około nas dzieje . . .

W najbliższym czasie w Londynie odbędzie się lotnicza konferencja międzydominialna. Przede wszystkim będzie dyskutowane zagadnienie "*Freedom of the air*" — wolności powietrza, lub jak kto woli: umiędzynarodowienia powietrza. Ogółem państwa alianckie odnoszą się do zagadnienia przychylnie, widząc w tej zasadzie możliwość uczestniczenia w handlu i komunikacji światowej na równych prawach. Równocześnie przypuszczają, że przyjęcie zasady wolności powietrza wprowadzi w międzynarodowe życie organizację międzynarodowego bezpieczeństwa, a więc i umiędzynarodowienie lotnictwa wojennego. Także czynnik dobrej woli, bez którego przy obecnym stanie rzeczy wszelka polityka międzynarodowa jest tylko wiecznym balansowaniem między wojną a pokojem. Nie mniej wszyscy zdają sobie sprawę, że przyjęcie tej zasady bez zastrzeżeń nie jest możliwe . . .

Roosevelt w jednej z ostatnich swych mów ujął sprawę wolności powietrza bardzo liberalnie, z pełnym uwzględnieniem praw narodowych, czy federacyjnych. Jego tezy można sprowadzić do trzech zasad: 1/ wewnętrzne linie lotnicze państw są ich wewnętrzną sprawą; 2/ międzynarodowe komunikacje nie mogą konkurować z komunikacjami wewnętrznymi; 3/ państwo może być właścicielem tylko tych linii, które związane są z potrzebami państwowymi, lecz nie wynikają z potrzeb gospodarczych. Linie dochodowe powinny być własnością towarzystw prywatnych.

Naturalnie wszystkie te zasady, które głosi Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki są słuszne i sprawiedliwe. Niestety zagadnienie wolności powietrza i przeprowadzenie praktyczne tego zagadnienia nie będzie zależało od przeprowadzenia zasad gospodarczych, lecz raczej od politycznego ujęcia całości sprawy. "*Freedom of the air*" uregulowana i ujęta w pewne normy może okazać się instytucją zbawienną i naprawdę uniwersalnym lekarstwem na chorobę Europy: na brak dobrej woli we współżyciu między narodami.

Jednak wszystko będzie zależało od tego, jak te normy zostaną ujęte? Jest to pytanie zasadnicze. Hitler rozumiał pod umiędzynarodowieniem powietrza dobry sposób opanowania i panowania nad światem przy pomocy swej "Luftwaffe." Wielka Brytania i Ameryka rozumieją to znowu inaczej, Rosja znowu zupełnie inaczej. Formalne ujęcie wolności powietrza będzie nad wyraz trudne, bowiem zawsze, jakiekolwiek będzie, będzie naruszało rzecz dotychczas świętą: suwerenność państwa.

Skoro jednak państwa zgadzają się na poświęcenie części swej suwerenności muszą coś w zamian otrzymać. To coś, to *common security* — bezpieczeństwo wspólne przeciw wszelkiej agresji, z jakiejkolwiek przychodziło by strony. By tak było, organizacja wspólnego bezpieczeństwa, wspólnej obrony, musi być tak ujęta, by gwarantowała rzeczywiście obronę i bezpieczeństwo nawet najmniejszego z państw na równych prawach z największymi. Nie może się jednak w żadnym wypadku opierać na jakiejś gwarancji jednego mocarstwa. W tym bowiem wypadku *common security* także zamienia się we wspólną niewolę i nic więcej.

Dla Polski "wolność powietrza" może być błogosławieństwem i równocześnie klęską. Trzeba z góry przebadać cały problem, by nim przyjdzie pod debatę przy zielonym stole, każdy szczegół był przemyślany i udokumentowany. Dlatego też nie można trzymać głowy pod suknem, ani lekceważyć spraw, które dla laika, wychowanego w dawnych zasadach politycznych wydają się odległe i nieistotne, ale tego, który przyjrzał się nieco zagadnieniom lotniczym i zdaje sobie sprawę z ich znaczenia dla układu sił w powojennym świecie, muszą napawać najgłębszą troską . . .

Między komentatorami obecnej wojny roztrząsa się obecnie ciekawą sprawę: czy nie należy zrezygnować z używania wielkich, ciężkich, powolnych bombowców, a zastąpić je szybkimi, może o mniejszym udźwigu, średnimi typami maszyn bombowych. Spór ten trwa i zdaje się teza ciężkich bombowców zwycięży.

W ostatniej "*Sunday Chronicle*" zabrał głos kpt. Norman Macmillan, M.C., który bierze w obronę wielkie bombowce. Wykazuje czarno na białym, że może ich straty są większe, jednak efekt działania jest bez porównania większy nawet w wypadku, gdyby użyto tak wielkiej ilości mniejszych bombowców, żeby pozornie i tonaż pokrywał się z tonażem udźwigu bombowców ciężkich. Przypuszcza, że przyszłość — w myśl przepowiedni Seversky'ego — przyniesie jeszcze większe bombowce. Przypuszcza także, że w myśl propozycji Doueta, podtrzymanej i przypomnianej przez tegoż właśnie Seversky'ego bombowce będą chroniły się same, nie tylko przez podniesienie obronnej siły ich ognia, lecz przez wprowadzenie do wypraw bombowych specjalnych krążowników powietrznych, wielkich bombowców, które zamiast wieźć ładunek bomb, będą wyposażone w olbrzymią siłę ogniową dla obrony innych.

Przypuszczać należy, że w najbliższym czasie Niemcy będą starali się użyć samolotów stratosferycznych do bombardowania. Posiadali samoloty rozpoznawcze tego typu, jednak dotychczas nie udawało się im przekształcić ich na myśliwskie, czy bombardujące. Są znaki na ziemi i na niebie /dosłownie/, że Niemcom udało się rozwiązać problem. Nie tylko zamierzają bombardować Wielką Brytanię z wysokości 45 — 50 tysięcy stóp, lecz to już nawet czynili. Brytyjczycy znają dość dobrze typ "Junkersa 87." Dwukrotnie udało się myśliwcom brytyjskim, z największym zresztą trudem i poświęceniem, samolot należący do tego typu zestrzelić.

Kto słyszał o trudnościach lotu stratosferycznego, bez specjalnej kabiny o sztucznym ciśnieniu i dobrym ogrzewaniu, ten zda sobie sprawę, co to znaczyło na zwykłym myśliwcu prowadzić pościg i walkę na tych wysokościach, gdy tlen nie dostaje się do płuc, a poza tym pilot cierpi ogromnie od bólów w stawach odbierających po prostu przytomność . . . Spodziewać się należy, że bombowce stratosferyczne doczekają się niebawem odpowiedzi w myśliwcach stratosferycznych. Będą to walki, których my z ziemi dojrzeć nie będziemy mogli . . .

Bombardowanie Gdyni, Gdańska i gniazda krzyżackiego a dziś wylęgarni Fuehrerów, Malborga jest wyczynem nie lada. Do Malborga jest tam i z powrotem ok. 1700 mil, zaś do Gdańska i Gdyni mil 1600. "Fortece" były prawdopodobnie przygotowywane specjalnie do tego celu, podobnie jak samoloty biorące udział w nalocie na Tokio miały pod skrzydłami specjalne dodatkowe zbiorniki, które zresztą lotnicy amerykańscy nazywają "zbiornikami tokijskimi."

Atak był niespodzianką dla Niemców i fortece były atakowane dopiero w drodze powrotnej przez Ju.88, Me.110 i nieliczne Focke Wulfy. Straty poniesione przez Amerykanów nie przenosiły normalnego procentu strat. Zresztą zostały zredukowane prawie do minimum późniejszymi wiadomościami o przymusowych lądowaniach niektórych fortec w Szwecji, gdzie zresztą lądowały przymusowo także samoloty niemieckie.

Wyniki bombardowania były bardzo dobre, doliczając do wymienionych celów także Anklam pod Szczecinem. Pod Anklam znajduje się wytwórnia Arado, produkująca ważne części do Focke Wulfów podobnie zresztą jak w Malborgu, gdzie jest montownia tych samych maszyn, jedna z największych w Niemczech. W Gdańsku celem były stocznie i baza okrętów podwodnych.

W Gdyni natomiast przychwycono największe okręty niemieckie, "Emden," "Gneisenau" i "Lutzow'a." Tam także znajduje się nie mogący nigdy nosa wystawić na pełne morze, legendarny "Graf Zepellin," jedyny lotniskowiec niemieckiej floty morskiej, o którego lotniczym ekwipunku opowiada się cuda.

Lotnicy amerykańscy opowiadają, że Gdynia jest doskonałym obiektem do skoncentrowanego ataku, gdyż w odróżnieniu od innych portów, n.p. Kilonii, ma ona baseny leżące jeden przy drugim, na bardzo szczupłej przestrzeni. Rzucone bomby obramowały całkowicie port gdyński, przyczem niewątpliwie trafione zostały niektóre z okrętów. W chwili gdy to piszemy nie ma jeszcze szczegółowych raportów o wyprawie.

Sumując działania ostatnich miesięcy i przypominając czytelnikom wykonane ataki na Ploesti, Wiener Neustadt, Skodę czeską, mamy do czynienia z wstępnymi działaniami na dotychczas nietknięte tereny panowania niemieckiego. Niewątpliwie uzyskanie dalszych lotnisk w środkowych i północnych Włoszech, pozwoli sięgnąć do najczulszych punktów przemysłu niemieckiego — do Górnego Śląska.

M. J. GORDON

NIEMCY W OBLICZU PRZEGRANEJ

Wśród wielu niewiadomych obecnego okresu wojny, wolno za wiadomą ryzykować twierdzenię, że w Trzeciej Rzeszy nikt już nie wierzy w wygraną. Przede wszystkim sama narodowo-socjalistyczna góra. Staje się to jasne nawet nie przy czytaniu jakichś nadzwyczaj interesujących, tajnych raportów z kontynentu, lecz po prostym rozważeniu niemieckich celów obecnej wojny. W formie jasno określonej istniały one oczywiście nie tylko w głowie Karola Haushofera i jego " geopolityków," ale także programach najwyższych komórek narodowo-socjalistycznego kierownictwa Niemiec. Natomiast w polityce Trzeciej Rzeszy narastały stopniowo, uzyskując jesienią 1941 roku postać najbardziej konkretną.

Europa — po myśli tych celów — miała tworzyć gospodarczą i polityczną jedność z kontynentem afrykańskim. Hiszpania miała promieniować na Amerykę Południową. Interesy niemieckie, poprzez Azję Mniejszą, miały geograficznie zespalać się z azjatyckim kompleksem zainteresowań i władania Japonii. Półwysep skandynawski, walońska i flamandzka Belgia, Holandia oraz Dania miały tworzyć wraz z Niemcami jedność narodów germańskich. Wschód Europy przeznaczono na teren kolonizacji germańskiej. Południe Europy łaskawie pozostawiano Włochom; choć niejasne określenie postulatów Niemiec na tych terenach zapowiadało konflikt Rzymu z Berlinem, którego wynik, w wypadku zwycięstwa Niemiec, oczywiście można sobie łatwo wyobrazić.

U schyłku r. 1942 te ambitne cele wojny, mające dać władanie Niemiec na obszarze znacznie większym, niż cesarskie mrzonki o osi Berlin-Bagdad, gwałtownie skurczono. Ucichły rojenia afrykańskie i azjatyckie. Prasa niemiecka przestała pisać o szkołach dla przyszłych kolonizatorów, uczących się dialektów murzyńskich. 450 rodzin niemieckich, które przed 1939 r. mieszkały na terenie dawnych cesarskich kolonii wschodnio-afrykańskich, a które karmiono nadzieją, że wrócą jako forpoczta niemiecka do Afryki, osiedlono ostatecznie w Wielkopolsce.

Wiosną i latem 1943 r. rozruchy w Holandii, niepokoje w Danii, ekskomunikowanie wodza pro-niemieckich Walonów Degrella, zdecydowana postawa Szwecji, stały się widomym świadectwem bankructwa idei pan-germańskiej. Z butnych zapowiedzi Rosenberga pozostały " germańskie " bataliony SS, które Himmler trzyma w pogotowiu, wcale nie jako zalążek lepszej przyszłości, lecz jako instrument dla opanowywania niezadowolenia samych Niemców. Ostatni raport zamordowanego w Mińsku gauleitera Białorusi Kubego mówił, że 15% kolonistów niemieckich wysłanych na Wschód i osiedlonych tam zginęło z ręki partyzantów. Administracji niemieckiej za Dnieprem już nie ma. Przestrzeń dla kolonizacji germańskiej na wschodzie rozpływa się w morzu krwi. Katastrofa Włoch i podminowane oporem Jugosławian i Greków, a niechęcią Węgrów, Rumunów i Bułgarów — Bałkany, kurczą nawet pojęcie " fortecy europejskiej."

Polityka niemiecka nie może więc oczekiwać wygranej. Niemcy chcą teraz już tylko umniejszać grozę przegranej. Czego by nie robiły w oczekiwaniu zwycięstwa, będą robić w obawie przed widmem klęski.

W momencie, gdy rozgrywka orężna już widomie przeważa szalę zwycięstwa na jedną stronę, odpowiedzialność za prowadzenie wojny przesuwa się w sposób zdecydowany od sztabu generalnego czy naczelnego dowództwa ku kierownictwu politycznemu. Prawo to obowiązuje na równi zwyciężanych, jak i zwyciężających. I pod tym względem rozwój sytuacji wewnętrznej Niemiec jest także bardzo pouczający. Rozporządzenie Himmlera, nakazujące członkom narodowo-socjalistycznej partii noszenie odznak partyjnych i grożące karami za wypieranie się w chwili obecnei przynależności do NSDAP, wskazuje, że Niemcy nie tylko widzą nieuchronną ruinę swoich celów wojny, ale tracą pod nogami także wewnętrzno-polityczną podstawę,

Political Warfare*

z której startowali w swój marsz na podbój świata.

NIEKONSEKWENCJE POLITYCZNE PO STRONIE SPRZYMIERZONYCH

Jesteśmy jednak po zwyciężającej stronie światowego frontu antyniemieckiego i znacznie bardziej nas interesuje polityczne kierownictwo Zjednoczonych Narodów, niż *political warfare* na okręcie, z którego zwiewają nawet narodowo-socjalistyczne szczury. Wiemy już, że można Niemców pokonać. Wierzymy, że mogą być pokonane tak dobrze, iż niebezpieczeństwo agresji niemieckiej z polityki światowej zostanie wykluczone, na bardzo długo, może na zawsze.

W nowej książce wybitnego publicysty amerykańskiego Waltera Lippmanna o polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, znajduje się sporo najzupełniej mylnych opinii o politycznych stosunkach w Europie. Jedna natomiast uwaga jego jest — przynajmniej w opinii podpisanego — bardzo słuszna; jest to uwaga o możliwości złamania obecną wojną dynamiki politycznej oraz militarnej Niemiec w taki sposób, że nie odzyskają one nigdy swej prężności sprzed 1939, jak i Francja po wojnach napoleońskich i po 1870 r. nigdy nie wróciła do możliwości ekspansji z okresu Wielkiego Cesarza. Na to oczywiście potrzeba co najmniej tyle nieprzychylnych Niemcom czynników, ile, nawet po 1918 roku, czuwało w stosunku do Francji nad tym, aby nie miała ona w Europie znowu zbyt wielkich wpływów politycznych.

Z tych przyczyn zastanawiać nas musi działalność w Moskwie komitetu Wolnych Niemców oraz dziwne stowarzyszenie generałów niemieckich i wyższych dowódców, które z takim nakładem propagandy rozpoczęło swoje istnienie w rosyjskim obozie jeńców. Nawet w " *Tribune* " londyńskiej nie tylko nie budzi to entuzjazmu, ale wręcz krytyczne zastrzeżenia. Pamięć Rapallo jest przecież jeszcze zbyt świeża, żeby nie trzeba zastanowić się poważnie nad artykułem moskiewskiego czasopisma "Wojna i klasy pracujące," przypominającego nie tylko sowiecko-niemiecki układ z r. 1922, ale także " nienawistną atmosferę konferencji paryskiej " po tamtej wojnie.

" *The Economist* " zauważa w związku z tym pewne sprzeczności propagandy rosyjskiej i pisze:

" Jednego dnia z Rosji przychodzi wieść o komitecie Wolnych Niemców i stowarzyszeniu niemieckich oficerów mówiących: Róbcie /Niemcy — przyp. mój/ pokój, jak tylko możecie, aby zachować niezależność Niemiec i ich zbrojną siłę." Następnego dnia Aleksy Tołstoj . . . domaga się na Niemcach zemsty."

Ta sprzeczność nie zmienia chyba jednak niczego w słuszności obserwacji, że polityczny cel pokonania Niemiec nie we wszystkich kołach alianckich jest sprecyzowany jasno i jednoznacznie. Świeżo w " *Spectatorze* " rozwinęła się dyskusja, w której zabierali głos zwolennicy oszczędzania Niemiec. Właściwe światło na tę dyskusję skierował dopiero głos czytelnika, zamykającego długi szereg listów na ten temat; wskazał on, że przecież obecna wojna nie tyle toczy się o dobro Niemiec, ile o los tych krajów i społeczeństw, które zostały przez Niemcy napadnięte i sponiewierane moralnie oraz materialnie. I do tego wniosku chcę nawiązać drugą obserwację — o *political warfare* Narodów Zjednoczonych.

SPRAWA T.ZW. " MAŁYCH " NARODÓW

Nie ma chyba człowieka, szczutego za swe przekonania na kontynencie przez Gestapo, który by nie wierzył, że obecna wojna ma obronić między innymi także tę zasadę, o którą walczono już w Pierwszej Wojnie Światowej, zasadę, którą Herbert Henry Asquith tak jasno określił w parlamencie brytyjskim 6 sierpnia 1914:

" . . . Stwierdzam, po drugie, że walczymy w tych dniach, w których materialna siła często wydaje się być górującym wpływem i czynnikiem w rozwoju ludzkości, o zasadę, że małe narody nie mogą być zdeptane, walczymy z wyzwaniem dobrego międzynarodowego zaufania, arbitralną wolą jakiegoś silnego i przemożnego mocarstwa."

W imię tej zasady mniejsze narody europejskie od pierwszego dnia podjętej walki tworzą drugi front oporu wobec niemieckiego napastnika. Dzięki temu właśnie wielkie mocarstwa zyskały na czasie w przygotowaniu się do odparcia uderzeń, skierowanych bezpośrednio przeciw nim. Niezłamanie tego oporu związało i wiąże olbrzymie siły militarne Niemiec i — co najważniejsze — nie pozwoliło w żadnej chwili obecnej wojny powiedzieć polityce niemieckiej, że Europa jest za nimi, a było by to osiągnięcie jednego z głównych niemieckich celów wojny.

W dyskusjach jednak politycznych ci maluczcy Europy są zbyt często i niesłusznie przedstawiani jako wszelka przyczyna kłopotu wielkich, ba! często jako zawada w normalizacji stosunków europejskich a przez to światowych. Interesy ich są na ogół niedoceniane. Założenie tymczasem właściwego politycznego prowadzenia wojny wymaga, aby wielkie mocarstwa, w chwili załamywania się wiązadeł Trzeciej Rzeszy, miały poparcie tych małych — bez zastrzeżeń. Założenie to wymaga, aby wielkie morcarstwa zrobiły wszystko, co mogą i co powinny, aby postęp wojny nie niszczył spoistości wewnętrznej mniejszych krajów europejskich, lecz wprost przeciwnie, aby przyśpieszał procesy uzdrowieńcze, które w każdym z tych narodów są tak potrzebne wobec moralnego i materialnego zniszczenia ich przez Niemcy. Jest to istotne tym bardziej, że Niemcy przed zakończeniem przegranych dla nich działań wojennych zrobią ze swej strony na pewno wszystko, aby chaos europejski powiększyć.

Sprawa małych Europy to także jeden z członów zagadnienia spoistości całego zespołu Narodów Zjednoczonych. Ta trzecia zasada politycznego prowadzenia wojny wydaje się być w pełni przez wszystkich doceniana, choć istnieje niezgodność co do stosowanych metod. Wojna, nieskończona jeszcze, toczy się z Niemcami o załatwienie zagadnienia niemieckiego. Jak długo zwycięstwo nad Niemcami tylko dnieje na horyzontach dalszego prowadzenia wojny, tak długo wszelkie spory z zagadnieniem Niemiec niezwiązane są polityczną przeszkodą w prowadzeniu wojny.

Co wcale nie znaczy, aby nie planować przyszłości świata. Co jednak ma znaczyć, że nie pora próbować łapać gołębia, gdy nawet wróbel jeszcze nie jest w garści.

Trudno Polakowi zabierać głos w sprawach amerykańsko-brytyjskich, nie mniej nie można ukryć, że nie ma Polaka, któremu dobre stosunki brytyjsko-amerykańskie nie leżą tak samo na sercu, jak niepodległość Rzeczypospolitej. Pod wieloma przecież względami przyszłość naszego kraju zależy właśnie od dobrej współpracy Londynu z Waszyngtonem. Także przyszłość całej Europy nie zanarchizowanej, lecz uporządkowanej w myśl pewnych zasad. Tymczasem na łamach wielu pism amerykańskich i w dyskusjach toczonych między politykami odzywaią się zbyt często głosy, mogące świadczyć, że wszczęto spór o podział łupów przed ostatecznym zwycięstwem oraz, że nie rozumie się w niektórych kołach przeciw komu i o co toczy się wojna.

SPEKULACJA NA POLITYCZNE WYGRANIE WOJNY

Niemcy przegrały, ale jeszcze nie są pokonane, Niemcy nie tyle spekulują na błędy militarne aliantów, ile na błędy polityczne. Materialna przewaga Narodów Zjednoczonych jest dziś tak przepotężna, że niemieckiej strategii pozostają tylko manewry opóźniające. Polityczne współdziałanie natomiast kilkudziesięciu narodów o wielu wspólnych, ale i wielu sprzecznych interesach, jest tak trudne do uzgodnienia, że Berlin nie bez pewnej słuszności, stawia na rozdźwięki wśród sprzymierzonych.

Rozumowi mężów stanu Narodów Zjednoczonych ich generałowie zlecają ostateczne zwycięstwo. I utrwalenie osiągniętego sukcesu. Nawet bowiem gdyby spekulacje niemieckie zawiodły na okres obecnej wojny, nawet gdyby popełnionych politycznych błędów aliantów nie wyzyskał tępy i zarozumiały Ribbentrop, to trzeba i tak obawiać się, że naruszenie którejkolwiek z zakreślonych tu trzech zasad *political warfare* wyzyskają z łatwością w przyszłości ci Niemcy, którzy w powojennym Berlinie będą marzyć o Rzeszy Czwartej, a może ją nawet będą budować.

11 października.

JÓZEF WINIEWICZ

* Por. artykuł tego autora: " Zmierzch bogów," druk. w nr. 41 " Polski Walczącej."

WIERSZE

★ ★ ★

Das OKW gibt bekannt:
Die Bevölkerung hatte Verluste.

Das Land — w ruinach, die Stadt — verbrannt.
Ziemia w czarną zapiekła się krustę.
W miejsce fabryk, ogrodów i domów —
Leje w ziemi wyżarte i puste.
Nawałnica płomieni i gromów —
Die Bevölkerung hatte Verluste.
Woda ryczy z pękniętych tam,
Ogień sprzysiągł się z wody chlustem.
Hamburg! Frankfurt! Ludwigshafen! Hamm!
Die Bevölkerung hatte Verluste.

Die Bevölkerung hatte Verluste.
Die Bevölkerung — jak nam jej żal.
Gra orkiestra tysiąca " Lancastrów "
Ueber Darmstadt! Ueber Wuppertal!
Gra orkiestra tysiąca " Lancastrów ":
" Hitlerdämmerung " ! " Pożar Walhalli " !
Podpierają niebo reflektory
Pajęczyną dygocących pilastrów —
Herrgott! Herrgott! Der Himmel się wali!
To astralna wali się ulewa
Na Abdery, Sodomy, Gomory!
W reflektorach — błyszcząca Syrena
Płynie niebem — i śpiewa — i śpiewa
Ueber Düsseldorf! Ueber Jena!
To warszawska — warszawska Syrena!
Ueber Stuttgart! Ueber Köln! Ueber Essen!
To za Siedlce, za Garwolin, za Pruszków.

To za trupy przepiórek-pastuszków,
Posiekanych kul świstem i błyskiem
Ryknął Messerschmitt ponad pastwiskiem —
Wir haben es nicht vergessen.

Wir haben es nicht vergessen.
Die Bevölkerung, gierig und geil,
Oglądała " Feuertaufe in Polen."
Die Bevölkerung krzyczała: " Heil! "
Gdy widziała, jak Dörfer verkohlen,
Gdy patrzała na zerfetzte Leiber —
Na te weinende polnische Weiber —
Na te niedergemetzlete Pferde —
Gdy widziała die polnische Erde
In Schutt und in Brand und in Asche —

Ognia! Ognia! Zemsty z wszystkich spustów!
Jeszcze mało, za mało Verlustów!
Teraz nasze bomby! Teraz nasze!

Die Bevölkerung wielkiej Abdery —
Teraz wy. Und wir werden euch finden.
Aż warszawskie cmentarne skwery
Odnajdziemy na Unter den Linden.

Teraz wy — po nocy — bez zmysłów, bez tchu —
Z płonących domów — z płonącego snu —
Jak szczury bure i tłuste —
W bezładnej ucieczce — to tam, to tu —

Das Oberkommando der Wehrmacht gibt zu:
Die Bevölkerung hatte Verluste.

MARIAN HEMAR

GOOD BYE, BIG BEN!

Miarowy krok, żołnierski krok,
Przez tamten rok i przez ten rok,
Przez wiele dróg, przez cały świat
I słowa trzy: za ile lat?

Miarowy krok, żołnierski krok,
W daleki fiord utkwiony wzrok,
Na zboczu gór milczący ślad —
Pogięty hełm. " W Norwegii padł . . ."

Nad Francją dym i kule tną
W legendę słów i Maginot,
Tu Daladier, tam Pierre Laval,
Tam Focha cień, tu Place Pigalle.

Miarowy krok, strudzony krok,
Przez Francji łzy, przez Francji mrok,
Przedwczoraj " l'homme," a dzisiaj " man,"
Hallo, my boys! Hallo, Big Ben!

Ucieczka w świat z portowych nor,
Tragiczny film " The World at War "
I oto są, to nasi znów —
Gazala! Szturm! Nie trzeba słów.

Jest jeden cel i prawo praw:
Na Niemcy kurs ma polski R.A.F.

Tam " Herrenvolk," tu " Rights of Man,"
All right, brave eagles! All right, Big Ben!

Rosyjski step. Tułaczy szlak
I dzień za dniem, i " sił już brak . . ."
Więzienny chłód i klucza zgrzyt.
I nagle blask. I nagle świt.

Rosyjski step i armat huk,
Sowiecki Kreml i polski Bóg.
I sztandar nasz. Jak stłumić płacz?!
Prezentuj broń! Na prawo patrz!

Miarowy krok, żołnierski krok,
Przez ciężki rok, po krwawy rok.
Ten twardy krok już dobrze zna
British Empire i U.S.A.

— — — — — — — — — —

. . .Żołnierski rytm żołnierskich nóg
Zadudni znów o polski bruk.
Poniesie wiatr, zaszumi len:
Good bye, old friend! Good bye . . . Big Ben!

RYSZARD KIERSNOWSKI

Do Nowo-Zelandczyka



Widok Tobruku od strony pustyni

I.

Drogi Johny!

Skończyła się wojna w Afryce. Nie dane nam było jej zacząć razem. Nie dane nam było jej razem skończyć. Ale tak się splątały drogi naszych rozlicznych marszów i postojów, bitew i potyczek na olbrzymich obszarach Środkowego Wschodu od słonych błot Msus po kamieniste Jebel* Druz, że śmiało mogę powiedzieć, iż ten długi i uciążliwy rozdział obecnej wojny—rozdział środkowo-wschodni—przebyliśmy razem.

Tak się dziwnie złożyło, że nie byliśmy nigdy w jednej dywizji. Łączono nas Polaków z Australijczykami, Hindusami, Anglikami, wolnymi Francuzami, Południowo-Afrykańczykami. Nigdy z Wami. A mimo to jakże często-śmy się spotykali.

Pierwszy raz razem mieliśmy jechać do Grecji. Cieszyliśmy się na myśl o wojnie w Europie. Ciekawi byliśmy nieznanych jeszcze towarzyszy broni. Pojechaliście pierwsi, my za Wami. Cóż, kiedy na morzu nas zawrócono z powrotem do portu. Statki były potrzebne do załadowania sił ekspedycyjnych z Grecji. Trzeba było ratować, co się dało i czym się dało.

A potem po Krecie jakże cieszyliśmy się z Waszego szczęśliwego powrotu. Z tego, że wrócił Wasz "Frey "—jakeśmy go wszyscy nazywali—cały i zdrowy.

Przyznam Ci się teraz szczerze, że patrzyłem wtedy na Was jak na żołnierzy, którym po dwóch kampaniach już nie bardzo będzie się chciało wojować. Boć, że nam się chciało jeszcze bić mimo przegranej wojny w Polsce i przegranej wojny we Francji, to już taki jest fatalizm żołnierza narodu wciśniętego w przeludnionej Europie między wielkie imperialistyczne narody. Ale Tobie, mieszkańcowi pięknych wysp, leżących gdzieś na dalekim—dalej niż do Warszawy—Oceanie, mieszkańcowi wysp o nowoczesnych miastach, o ludziach spokojnych i miłych—myślałem—nie będzie się już chciało walczyć z europejskimi rabusiami.

Ale Wyście się nie zmienili. Dalej byliście tymi, którzy najrzadziej używali *the most common soldiers' objective.* Czekaliście spokojnie na okazję, żeby się odbić.

I wtedy Cię poznałem. Piliśmy whisky—było jeszcze whisky na Wschodzie w r. 1941—w "Phaleroncie" w Aleksandrii. Ta malutka, czarna Cléo Arabko-Greczynka siedziała z nami. O mało nie pobiliśmy się o nią. Gadaliśmy o wszystkim i o niczym. Najwięcej migami. Najmniej o wojnie. Jedno rozumieliśmy jednak dobrze, że tę wojnę . . . to my do końca . . . to my tak długo aż będzie nasze na wierzchu.

Niedługo potem ruszyłem w pustynię. Raz bardzo wcześnie rano jechałem motocyklem. Nie kurzyło, bo jeszcze była rosa. Ale było tak zimno, jak tylko w pustyni zimno być może. Miałem jakiś meldunek, jakich się pełno w wojsku nosi. Natknąłem się wtedy pierwszy raz na nieuprzejmych Nowo-Zelandczyków. Koło Burg-el-Arab.

Tak jak was pamiętałem z wielkich miast Środkowego Wschodu, byliście zawsze najgrzeczniejsi, najspokojniejsi ze wszystkich wojsk. Wasze shorty były zawsze wyprasowane. Pijany Nowo-Zelandczyk śpiewał zawsze ciszej, niż każdy inny żołnierz. Nie rozpoczynaliście nigdy bójek, ale na okrzyk: "*come on boys*" śpieszyliście pierwsi, chociażby w najciemniejszy zaułek. Żołnierz w kapeluszu dziwnego kształtu, podobny trochę do takiego, jaki nosił gen. Baden-Powell, wielki wychowawca nowych ludzi, z czarno-czerwonym, albo czarno-zielonym, albo czarno-granatowym paskiem dokoła, był zawsze bardzo uprzejmy i grzeczny.

Ale wtedy pod Burg-el-Arab byliście bardzo niegrzeczni. Stanęliście na trakcie pustynnym. Musiałem zjechać w kamienie, o mało się nie potłukłem. Potem coś szybko zaczęliście do mnie pokrzykiwać. Nic nie rozumiałem, bo jeszcze mało wtedy umiałem po angielsku. Chociaż mówicie najwyraźniej ze wszystkich anglosaskich narodów. Nie mogłem uwierzyć, że to Nowo-Zelandczycy. Ale od razu wyjaśniłem sobie, że pewnie jakaś gorsza sorta, bo zamiast kapeluszy nosiliście w pustyni ciągle spadające furażerki.

Wreszcie strasznie się poparzyłem, bo herbata była okropnie gorąca i było jej dużo i słodka. I z mlekiem jeszcze. A w ogóle poparzyłem sobie wszystko: wargi, język i dziąsła i przełyk i żołądek. Później stale brudziłem się o lepką kierownicę, bo jamu na sucharach było za dużo i lał się po rękach, po kierownicy, po lusterku nawet.

Ja byłem strasznie zły, że mój dowódca kazał mi na takie zimno jechać z tym meldunkiem. A Wy ciągle kazaliście mi pić dużo słodkiej, rozgrzewającej herbaty z mlekiem i jeść suchary z rozwalającymi się górami jamu. I bardzo zły wreszcie odjechałem. Całą moją złość wywarłem na motocyklu, aż piszczał. Zresztą mogłem szybko jechać, bo już mi nie było zimno, coś mnie rozgrzewało od środka. O moim dowódcy i o tym meldunku też już mniej myślałem.

Potem zamknęli mnie w Tobruku. Wy szykowaliście się z odsieczą Egiptu. Wiedzieliśmy o tym. I gdy już podeszliście dostatecznie blisko, wyszliśmy Wam z Anglikami naprzeciw. Z trudem wielkim zwierały się dwa ramiona: Wasze z Egiptu, nasze z Tobruku w Sidi Rezegh. Myśmy już doszli do Bel-Hamed, podeszliśmy pod El Duda. A Wyście dochodzili do Zafran.

Pamiętacie przełęcz Zafran? Wtedy ginął na naszych oczach cały Wasz batalion. Brygadier przy nim został. A myśmy nie mogli iść Wam na pomoc. Bo nasza kiszka z Tobruku już i tak była za cienka. A nasze środki motorowe po długim oblężeniu twierdzy nie bardzo zdolne do szybkich uderzeń. Ale ostatecznie "nasze" było na wierzchu.

Było "nasze" na wierzchu, bo chociaż wyście pojechali trochę inną drogą, a my inną, to jednak pod Gazalą znowu się nasze drogi przecięły i robiliśmy w prawo od Was "push" na Carmused er Regem. I ani trochę nie baliśmy się, że ci Niemcy, co siedzieli na El-Hamra zrolują nasze natarcie z lewej, bo Wyście tam byli.

Do słyszyska

yours sincerely

JOSEPH

II.

Drogi Johny!

Muszę Ci koniecznie opowiedzieć jak wielką radość, sprawili mi Twoi krajanie, niczym właściwie więcej, jak tylko tym, że ich spotkałem.

Jechałem raz w kierunku morza z pustyni głębokiej, z pustyni pełnej piachu, kamieni i białych plam na mapie. Od kilku dni już elektryzowała nas wiadomość, że dotrzemy do kolei. Linię kolejową mieliśmy zobaczyć i wszystko co taka linia ze sobą przynosi. Więc dworce kolejowe, kolejarzy, szybszy dowóz wszystkiego, może nawet krany z wodą. Miało to być pierwsze przypomnienie cywilizacji wielkich miast i krajów urządzonych do życia, po wielu miesiącach pustyni. Mieliśmy się naocznie przekonać, że świat nasz nie składa się tylko z piasku, kaktusów suchszych od niego i gorąca.

Wyobrażasz sobie, drogi Johny naszą radość na widok tego urozmaicenia, jaki wprowadziły w senny krajobraz pustyni dwie czarne, długie, proste kreski toru kolejowego. Taki zwyczajny tor kolejowy, a widzieliśmy w nim zapowiedź tego świata, do którego się tak ochoczo wraca. A gdy zobaczyliśmy stację z pompą wodną, namiotem dyżurnego ruchu, i jakże charakterystyczną budką na wygódkę, obłożoną workami z piaskiem, wydawało się nam to jakimś miastem wielkim, jakąś stolicą potężną, rozsiadłą dumnie w pustyni do królowania.

I uwierzysz teraz, jak się ucieszyłem, spotykając na tej linii Twoich krajanów. Przecież im, tej jedynej linii zawdzięczaliśmy przez tyle miesięcy łączność ze światem. Wysokie Wasze sylwetki w charakterystycznych kapeluszach z daleka rysowały się na dwukreskowym torze, jak znak zorganizowanej pracy, jak symbol postępu, pochodu cywilizacji w dziką pustynię. Samochody nasze już bardzo były wtedy znękane; przygarnęliście nas więc na swoją kolej i dowieźliście szybko do świata.

Dostałem potem przepustkę. Czujesz o czym mówię: dostałem przepustkę prawie po roku piachów. W Cairo to było.

Poszedłem wtedy do Waszego klubu. Jeśli przywróciliście mnie światu, to teraz cierpcie. Chciałem wziąć od razu trzy bilety do kąpieli. Ale taka sympatyczna—o! jak sympatyczna—panienka powiedziała mi, że z jednym tak samo się wykąpię, jak z trzema. Odkręciłem więc wszystkie krany i zacząłem się pławić w wodzie. W zimnej i w gorącej. Na przemian. I ten nabity wielomiesięczny kurz odmiękł, spłynął i byłem wykąpany. Bałem się, że teraz zabraknie herbaty, że cała woda zużyła się podczas mojej kąpieli. Ale gdzież tam. W tym mieście nigdy wody nie brakło.

A co było potem, nie bardzo pamiętam. Bo czułem się już zupełnie nie na tym świecie. Pozostało mi tylko wrażenie czegoś puszystego, białego, zimnego i bardzo przyjemnego. I nie bardzo wiem, czy to jest wspomnienie lodów przedziwnych, które tam piłem, czy kobiet prześlicznych, które tam widziałem /Wybieraliście chyba kobiety z całej Nowej Zelandii do tego Waszego klubu w Cairo./

Pamiętasz kobiety na Środkowym Wschodzie? O kruczych splotach. O czarnych oczach i gorącej błyskawicy w spojrzeniu, pomieszanej z melancholią wschodniej melodii. Niewiasty-ogień. Niewiasty południa, wschodu. Spadkobierczynie ogrodów Padyszacha. Czy wiesz jak w takim świecie kobiet odbijały jasne Nowo-Zelandki i tak przystojne? O wiesz na pewno, bo często tam zachodziłeś. Jak orzeźwiające, zimne śmietankowe lody po atmosferze kawiarń arabskich, pełnych haszyszu i zakąsek przepojonych dymem /brr! brr!/. Wychodząc na ulicę już nie widziałem palących spojrzeń Arabek. Bo pełen byłem tych białych panienek, jak w mleku kąpanych, jak mleko same.

A potem spotkałem Cię w Bejrucie. Nad morzem piliśmy mocną kawę po całonocnym pijaństwie. Gadaliśmy o wojnie, o pustyni i o rodzinach swoich, nieznanych nam wcale a dziwnie bliskich. Wtedy już wiedziałeś, że z tym batalionem na przełęczy Zafran poszedł do niewoli Twój brat. Pytałeś się, jak jest w niewoli. A ja Ci niebardzo mogłem opowiedzieć, bo widzisz ja jestem Polakiem i ze mną Niemcy specjalnie się obchodzili.

A co było potem? Potem mnie zaprosiłeś do siebie. Stałeś obozem z tej strony Jebel Druz. I tak było tam dziko, jak w niektórych częściach moich Tatr. Powiedziałeś wtedy, że wobec tego /nie wiem dlaczego "wobec tego" ?/, czy z powodu dzikości okolicy, czy z sympatii dla mnie tam chcesz bić Niemców. I potem znowu było strasznie dużo piwa i dlatego niebardzo pamiętam, jak się skończyło.

Dopiero teraz, gdy w prasie przeczytałem jak wielkim echem odbiło się nasze nieszczęście narodowe: śmierć gen. Sikorskiego—tam na Waszych dalekich wyspach — uzmysłowiłem sobie tak jasno, jak wtedy przy piwie, trudno mi to było zrobić. Że przecież między nami jest taka wspólność interesów, jak wielka jest przestrzeń fizyczna dzieląca nas. Że przecież nie opłakiwaliście tylko jednego z wielkich polityków alianckich, ale przede wszystkim premiera państwa, którego port Gdańsk /znany Wam pod niemiecką nazwą Danzig—nauczcie się Gdańsk; chcę Wam "zaspelować": *G D A N with a coma over it S K*/ musi być polski tak, jak New Plymouth nie może być japoński.

Może już niecały rok—może trochę więcej—do zakończenia wojny w Europie. Patrząc z równą troską w przyszły pokój, jak patrzyliśmy w obecną wojnę, krzepimy się myślą, że na dalekich wyspach żyje rządne społeczeństwo Nowo-Zelandczyków, które uznało w gen. Sikorskim symbol walki narodów o samodzielny byt, walki o to, żeby w Warszawie nie było napisów publicznych gotykiem germańskim, a w Wellingtonie hieroglifów japońskich.

Wiem, drogi Johny, że modląc się podczas mszy za duszę ś.p. gen. Sikorskiego myślałeś o nas, o mnie, o wszystkich moich i Twoich towarzyszach broni, którzy stracili swego Wodza Naczelnego, jak serdecznie myśmy się cieszyli, gdy Wasz "Frey" uratował się z Krety i potem ranny w pustyni wyzdrowiał.

Już cztery lata nie widziałem matki i ojca i nie mam od nich wiadomości, ale jak się tylko w Europie skończy wojna, zaraz pojedziemy do Was. Nie wiem, jak tam postanowią nasze rządy. Ale mam wielką ochotę pomóc Wam w pobiciu Waszych rabusiów, tak jak Wyście nam pomogli z naszymi. Dużo nas nie przyjedzie, bo w Polsce trzeba będzie odbudować i fabryki i szkoły i kościoły i domy i zasiać zboże, żeby było co jeść i w ogóle wszystko. Ale kto tylko będzie mógł, to przyjedzie.

Więc do widziska Johny

yours sincerely

JOSEPH

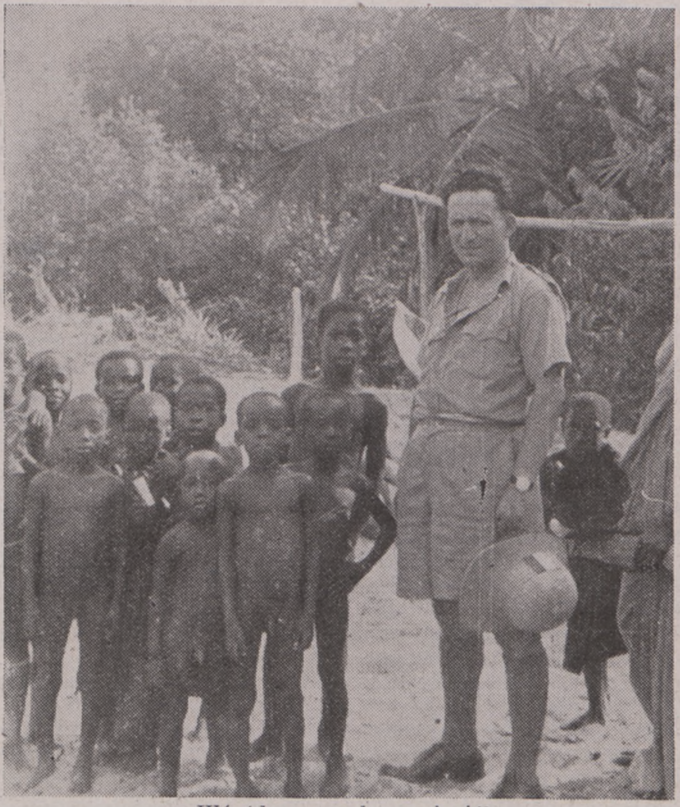
JÓZEF KRZYWAN



Braterstwo broni na pustyni libijskiej: Polak, Anglik, Hindus, Nowo-Zelandczyk i Czech

* wymowa: Dżebel.

Białe skrzydła nad czarnym lądem



Wśród czarnych przyjaciół

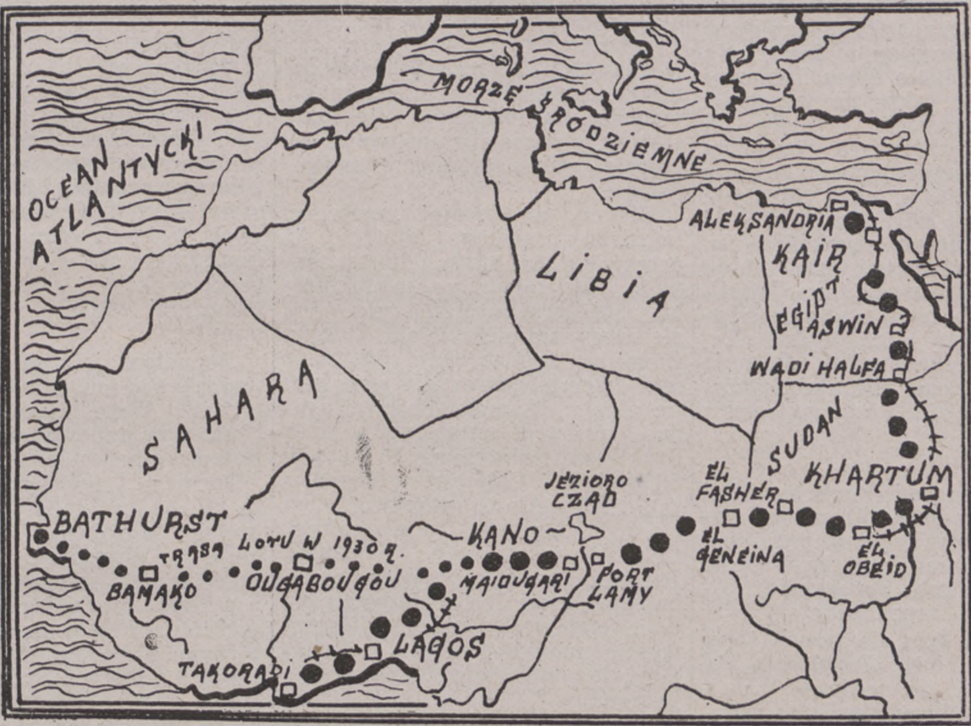
—Praca? Jak praca, proszę Pani — zauważył melancholijnie mjr. pil. N.

—Pilotowało się samoloty z Gold Coast do Egiptu. Droga? Trochę długa, bo trzy dni w jedną stronę, lądując siedem razy. Start o brzasku. W nocy odpoczynek. Różnie bywało. Czasami należało dostarczyć samolot na linię frontu, czasami na Maltę. Nie pamiętam w tej chwili ani ilości godzin lotów, ani ilości przelotów. Wiem tylko, że było tego dużo i czasami było bardzo ciężko. Klimat i choroby dawały się bardzo we znaki. Mimo zastrzyków otrzymanych w Anglii niemal 95% personelu chorowało na malarię i szereg innych podzwrotnikowych chorób. Niektórzy zapadali na tę samą chorobę po 3-4 razy. Wprawdzie wypadków legendarnej żółtej febry nie było, ale za to czarna febra i śpiączka święciły swoje triumfy. Niekiedy dawały znać o sobie choroby w ogóle nieznane medycynie. Na przykład ja. Licho wie, co to było. W czasie przelotu do Iraku zemdlałem. Zemdlenie przyszło " bez wypowiedzenia." Potem zapalenie opon mózgowych. Cztery miesiące w szpitalu—w tym czternaście dni bez przytomności. To nie było przyjemne. Jednak sama praca dawała duże zadowolenie. A czasami zdarzały się momenty emocjonujące . . .

—Pamiętam w październiku 1941 r. w drodze powrotnej do bazy, lądowałem w Stanleyville w Belgijskim Kongo. Nie wierzyłem własnym oczom. Miasto było udekorowane polskimi flagami obok brytyjskich i belgijskich. Wiedziałem, że Stanleyville przygotowuje się do przyjęcia wojsk belgijskich wracających z Abisynii. Przy tej okazji Belgijczycy chcieli dać wyraz swojej sympatii dla Polaków.

—Spałem snem sprawiedliwych, gdy obudziły mnie dźwięki marsza wojskowego. Byłem zaproszony na uroczystość. Ubrałem się szybko. Tutaj miałem doznać powtórnego wzruszenia: mowa gubernatota poprzedzona była odegraniem hymnów narodowych — przez orkiestrę murzyńskich dzieci szkolnych — belgijskiego, brytyjskiego i . . . polskiego. Moje stare serce żołnierskie nie wytrzymało. Nerwy odmówiły posłuszeństwa . . . Łzy potoczyły się po twarzy . . . Wycofałem się " na tyły." Dziś jeszcze brzmią mi w uszach dźwięki hymnu, granego przez małe murzyniątka w tak niezwykłych okolicznościach tam, w sercu Afryki . . .

—W Kongo Belgijskim zaznaliśmy wiele serca. Ta mała garstka — bo zaledwie 300 osób — białych wyczuła czego brak nam najwięcej. Wytwarzała taką atmosferę serdeczności i bliskości jakiej nie spotkałem nigdy w Afryce. To też przy każdej okazji pobytu korzystaliśmy z tego ciepła. Były to tylko momenty. Nie zdążyliśmy się jeszcze nimi nacieszyć, kiedy już trzeba było wracać do codziennego, szarego i bardzo monotonnego życia. Gdyby nie latanie . . . to nie wiem . . . — ciągnął major.



Trasa ferry-pilotów przez Afrykę

—Teraz dopiero, zdaje mi się, że rozumiem jak ciężko jest tym, którzy muszą tam pracować tylko na ziemi i w bardzo złych warunkach. Niektórzy z nich czasami wyrywali się na lot jeden czy dwa. I tak raz b. dyrektor tramwajów lwowskich poleciał w mojej załodze jako nawigator, po raz pierwszy. Przeżył przygodę trochę nieprzyjemną.

—Nieszczęście chciało, że nad skalistą pustynią " zaniemówił " mi jeden silnik. Rozkaz: przygotować spadochrony. Wiedziałem, że skok w tym terenie równa się śmierci. Robiłem co mogłem, aby gdzieś wylądować. Myśl pracowała gorączkowo: jeśli tutaj nawet mi się uda, to " pogruchotamy " sobie kości na pewno. Nie będzie można odbywać marszu, co w konsekwencji też równa się śmierci z braku wody. Nie bardzo mi się to uśmiechało — muszę przyznać. Dałem gazu. Prułem jak mogłem. Tyle, ile maszyna mogła wyciągnąć. Aby do Nilu. Tam już jest wszystko, i woda i jedzenie. Aby prędzej — niecierpliwiłem się.

—Jednak wyraźny pech nas prześladował. Drugi silnik " nawalił." Zaczęło się wytracanie wysokości. Byliśmy już nad osiedlami ludzkimi. Wreszcie upragniony Nil. Wydawało się, że już, już usiądziemy. Ale to były tylko marzenia. Góry koło Luxoru. O przejściu ich nie było mowy. Znowu strata wysokości — tylko około 1.000 stóp. Pod nami teren falisty. Siadać? — pytałem siebie — kraksa pewna. A lotniska jak nie widać, tak nie widać. Posadziłem mego " tramwajarza " przy sobie, załogę przygotowałem na najgorsze. Sam ciągnę dalej. Wreszcie zdala upragnione lotnisko. Uff! Odetchnąłem. Ale doleciałem tylko pod samo lotnisko i . . . zabrakło wysokości. Musiałem siadać. I chwała Bogu — szczęśliwie.

—Po tym trzydniowy pobyt w Luxorze. Usiłowania mechaników naprawienia silników, ale bez pozytywnego rezultatu. Dalsza podróż już koleją. Znowu powrót i znowu konwój.

Major zamyślił się. Po chwili ożywił się i ciągnie dalej swoje opowiadanie.

—Raz przytrafiła mi się przygoda trochę niesamowita. Zostanie mi w pamięci chyba na całe życie. Pierwszy raz widmo śmierci zajrzało mi z bardzo bliska w oczy . . . Wyleciałem z lotniska w Khartum prowadząc duży konwój. Trąba piaszczysta zmusiła nas do powrotu po niemal dwóch godzinach lotu. Zgłosiłem się w dowództwie. Zameldowałem fatalne warunki atmosferyczne. Mimo to otrzymałem rozkaz powtórnego lotu. Zakląłem siarczyście. Jednak w sukurs mojej złości przyszła myśl, że widocznie maszyny na froncie są bardzo potrzebne i nie ma rady, należy położyć uszy po sobie i lecieć. Z lepszą już miną poszedłem do maszyny. Poleciałem ze swoim konwojem w komplecie.

—Piloci mimo jeszcze gorszej pogody, niż przy poprzednim locie — spisywali się dzielnie. Lot możliwy tylko na przyrządy. Próbuję przebić się w górę. Ale na wysokości około 14.000 stóp warunki pogorszyły się jeszcze bardziej. Czerwony deszcz/pomieszany z czerwoną gliną/ osłabił widoczność prawie do zera. Zniżyliśmy lot. Przed nami majaczyły szczyty gór. Kręciliśmy się około 15 minut. W końcu na " ślepo " lądowaliśmy. Na szczęście w pobliżu toru kolejowego, w odległości około 1.000 mil od Nilu. Uczucie trochę niemiłe. Przezwyciężyliśmy je. Zabraliśmy z maszyn żywność i manierki z wodą. Walcząc przez godzinę z szalejącym huraganem, idąc wzdłuż toru — dobrnęliśmy do najbliższej stacji kolejowej. Stąd wysłaliśmy kable o pomoc. Jednocześnie zawiadomiliśmy, wszystkie pobliskie stacje, że jedna maszyna zaginęła.



Na szczerej pustyni

—Na " naszej " stacji zatrzymaliśmy pociąg, który wcale nie miał zamiaru na niej stawać. Po " ograbieniu " wozu restauracyjnego, próbowaliśmy nieco odpocząć. Obawa jednak o los naszego towarzysza nie pozwalała na to.

—Półtorej godziny napięcia nerwowego. Wsłuchiwania się w szum szalejącej burzy i . . . stacja Mahomet daje znać, że jakiś samolot w powietrzu w pobliżu nas. Po chwili rzeczywiście słychać warkot silnika. Rozjaśniły się twarze. Na krótko. Warkot cichł. Odleciał . . . Po kilku minutach to samo. Potem wiadomość, że samolot usiłował siadać na torze, ale po kilku próbach odleciał w naszym kierunku . . . Znowy słychać motor warczący i znowu . . . odleciał.

—Meldunki powtarzały się ciągle. Szarpały nerwy. Wreszcie, kiedy już straciliśmy wiarę w ocalenie kolegi — " zbieg " nasz sam, we własnej osobie zjawił się na stacji. Nie wiedział, że my już tam jesteśmy. Radość — trudno po prostu opowiedzieć.

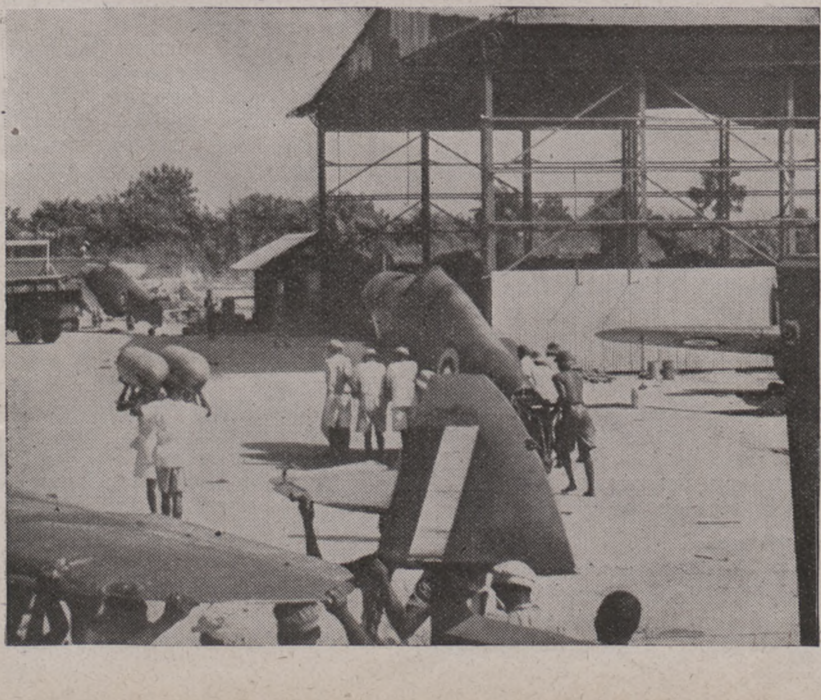
—Na stacji musieliśmy siedzieć przez cztery i pół dnia, wyglądając dobrej pogody jak zbawienia. Zorganizowana własnym przemysłem kuchnia zaczęła sprawnie funkcjonować już pierwszego dnia pod wieczór. Chmary muszek piaskowych i szarańczy asystowały nam przy zjadaniu osławionego *corned beef'u*. Jednak nie psuło to wcale naszych wilczych apetytów. Wspaniała sypialnia zaimprowizowana pod gołym niebem — dopełniała naszego komfortu.

—RAF w Wadi Halfa nie próżnował. Stacja lotnicza przysłała nam żywność, papierosy i przede wszystkim benzynę. Uzupełniliśmy paliwo i czekaliśmy na koniec burzy. Wreszcie piątego dnia naszej przymusowej " majówki " — po południu, nastąpił start do Wadi Halfa. W dwa dni po tym po przeglądzie maszyn, generalnym myciu, goleniu /a było tego trochę/ i innych zabiegach " toaletowych " — wystartowaliśmy do Egiptu. Jednak już nie w pełnym składzie. Konwój nasz zmalał. Ludzie się pochorowali.

—Stara prawda — jak człowiek musi, to wszystko przetrzyma— zakończył major opowiadanie.

LEONTYNA GODLEWSKA

Wyładowywanie części składowych



Maszyny gotowe do przelotu



Z pamiętnika pilota myśliwskiego

1940: Cambrai

25 kwietnia.

Marzniemy i nudzimy się. Na jeden dzień pogody, tydzień deszczu i mgły, żadnej akcji. Każdy komunikat radiowy czy prasowy z frontu zawiera się w trzech słowach: "*Rien à signaler.*" Przypomina mi to od razu: "Na zachodzie bez zmian" Remarqué'a i myślę, że nie odbiegliśmy daleko od tamtych czasów. Jestem tu prawie miesiąc a jeszcze ani razu nie widziałem nieprzyjaciela w powietrzu.

Szczepią nas przeciwko wszystkim możliwym chorobom—"Żeby te eskulapy znalazły szczepienie na głupotę ludzką"—mruczy Gomuliński, który z powodu jakichś "zachachmęceń" biurowych nie może wydostać tysiąca franków, co mu się Bogiem a prawdą należy. Równocześnie jeżeli chodzi o stosunek jego do lekarzy przeważa nieufność i czujność z pewnego rodzaju obawą. Gomuliński uważa wszystkich lekarzy za nietytularne bractwo cichego porozumienia, gorsze, niż zakony religijnie, ba gorsze, niż masoni.

Najpodlejsze są szczepienia tyfoidalne. Łamie po tym w stawach, że aż hej, w towarzystwie dreszczów, gorączki i bólu głowy. Trzy razy po dwa dni wytrącają człowieka z życia. Jestem właśnie w trakcie drugiego wytrącenia.

Z Lyonu pisał Lachowicki, iż tam rozniosły się wieści, że Flanek ranny, ale że przedtem "kupę" strącił i że ostro walczymy. Strasznie nam tego zazdroszczą. Odpisałem, że ekscytują się plotkami, które durnie wymyślili z braku roboty.

28 kwietnia.

Sygnalizowani Niemcy, "*beaucoup de Boches*" nad naszym odcinkiem. Klucz francuski poszedł w górę, lecz po godzinie lądował bez spotkania z nieprzyjacielem.

30 kwietnia.

Przyjechała wieczorem "*marraine*" naszej eskadry. Wiek balzakowski; dość ponętna. Podobno szalenie bogata. Sądząc z jej samochodu, nie wygląda to na przesadę. Przywiozła wiele podarków dla żołnierzy. Wieczorem w mieście przyjęcie na jej cześć. Uczta trwała cztery godziny i szampan płynął. Ładna wojna! Byłem objedzony i zmęczony.

3 maja.

Zrobili nam przyjęcie z okazji święta narodowego. Było to tak dyskretne i niespodziane, jak tylko Francuzi potrafią. Wczoraj nikt nie pisnął ani słówka, nie było najmniejszej wzmianki, dziś sala operacyjna ubrana, jak na galę. Chorągwie i godła państwowe. Każdy każdemu ściskał rękę i było dużo rozrzewnienia. Szampana było jeszcze więcej.

Dowódca dywizjonu powiedział bardzo ładną mowę. Zaczynała się ona od tego, że historia skazała nas i ich zawsze na braterstwo broni. Mógł mówić to tym śmielej, że sam miał polskie odznaczenia za wojnę w r. 1920, w której brał czynnie udział. Jeszcze dotychczas wyjęzyczam się lepiej po niemiecku, niż po francusku, więc musiałem uciec się w odpowiedzi do języka Goethego i Hitlera. Corniglione tłumaczył.

6 maja.

Pogoda od dwóch tygodni mglista, dziś poprawia się. Rano była gęsta i płytka mgła. Słońce przebijało ją, jak opalowy dysk. Około dziesiątej mgła roztopiła się, jak mgła i wyszedł z tego wspaniały, mocny dzień. Zieloność zachwyca i obejmuje oczy.

Robię przygotowania do gry w siatkówkę i wtedy, jak to zwykle bywa, dostaję rozkaz patrolowania swego odcinka. Czas startu wyznaczyli na 11.15. Nie wymaga to, żebym gwałcił swoje lenistwo w niepotrzebnym pośpiechu. Mówię więc do Flanka:—"Zawsze mi w locie swędzi cholernie nos od tych okularów." Flanek na to:—"To niech pan kapitan podłoży sobie kawałek zamszu tak, jak ja to sobie zrobiłem."

Właśnie oglądam jego okulary i zamsz, gdy robi się druga wrzawa. Bosz nad granicą belgijską. Lecimy jak wariaty do maszyn, a maszyny na drugim krańcu lotniska. Chwała Bogu, czujka dostrzegła w porę i zanim byliśmy w połowie, już wszystkie maszyny klucza pracowały, jak zegarki. Nie ma to, jak polscy mechanicy.

Zaraz po starcie nawiązuję łączność: — "*Hallo six zéro trois . . . six zéro trois, ici soixante trois qui vous appelle.*"

—*Hallo soixante trois, ici six zéro trois, allez au point quatre. Altitude . . . altitude: vent six . . . vent sept . . . vent huit . . . vent neuf.*

Natychmiast po tym radio jakby uważając, że się za ciężko napracowało, odmówiło dalszego działania. Słyszę, co mówią, ale mnie nie słyszą. Około Valenciennes dostrzegam bardzo daleko i wysoko w niebie biały dymek. Nabieram szybko, jak tylko mogę, wysokość. Skok śmigła na pełny "*petit pas*" a cały gaz. Flanek zostaje w tyle. Zantara jest wyżej ode mnie. Biały dymek wydłuża się w smugę. Jest od nas grubo wyżej na 9-10,000 metrów. Dochodzę do 8,000 i dalej ani rusz. Grat wali się na skrzydło i idzie niechętnie za sterem, jakby się ruszał w wacie. Jechałem kiedyś wozem zaprzężonym wołami z Horodziejek do Baranowicz. Wrażenie podobne.

Bosz przeszedł od nas bokiem i popruł za Cambrai. Przypuszczam, że będzie wracał i staram się przeciąć mu drogę. Nagle obok mnie w prawo w odległości kilkuset metrów kilka czarnych grzybów. Pociski artylerii. Za chwilę druga i trzecia seria. Jestem na 8.000 mtr. Widocznie artyleria pierze na słuch do mnie, biorąc mnie za Niemca. Zważywszy wysokość, walą wcale nieźle.

Nie mam jednak ochoty zetknąć się choćby przypadkiem z którymś grzybem i skręcam w lewo. Na dole spostrzegam klucz Leblanca drapiący się także na wysokość. Niemiec zawrócił i idzie na wschód. Ma kierunek wprost na mnie, lecz jestem pewien, że mnie nie widzi. Cóż z tego! Brakuje jeszcze 1.000 mtr. Samolot wisi na granicy utraty szybkości i Ju. 88 przechodzi tuż nad moją głową. Można wyć z żalu i bezsilności. Strzelanie na taką odległość to Panu Bogu w okno. Leblanc był jeszcze niżej ode mnie i wystrzelał całą amunicję. Oczywiście było to kiwanie palcem w bucie.

8 maja.

Rano Bosz nad Cambrai. Miał kierunek nad chmurami na zachód, potem przymknął gaz i wyszedł nad samo lotnisko.—"Robi fotografie, robi fotografie!"—krzyczą nasi mechanicy.

Wysokość trzy do trzech i pół tysięcy metrów. Porucznik Peteaux mówi do mnie — "Huit mille" — Wyraziłem inne przypuszczenie ale dałem spokój. bo diabli mie brali, żeby pilot myśliwski nie wyznawał się ani na grosz na ocenie wysokości. Coprawda to rezerwista i sami Francuzi podśmiechują się z niego. Uparty jednak, jak cap. Nie spuścił z tych ośmiu tysięcy ani za grosz.

10 maja.

Wczoraj znowu szczepienie przeciwtyfoidalne. Ból głowy i gorączka. Ledwo usnąłem—alarm. Syrena na wieży kościoła o kilkadziesiąt kroków od mego mieszkania wypruwa duszę z siebie. Patrzę na zegarek. Jedenasta. Wycie wpada przez otwarte okno i wypełnia wszystko co może. Jest to tak, jakby cały pokój wył. Bębenki uszne dostają szału. Minuty tego wycia jest dość, by poruszyć umarłych. Jednak dyrektorzy od tych akustycznych produkcji mają widać odrębne zdanie i chcą zwiększyć pewność, że każdy ich usłyszy. Dlatego syrena wyje 5 minut. Po tym usypiam jakoś.

Po godzinie znowu syrena—odwołanie alarmu. Trawiony gorączką i wybity ze snu już nie mogę zasnąć i przewracam się na łóżku. O godz. czwartej znowu syrena. Strzały artylerii. Podchodzę do okna. W niebie dobrze znana melodia niemieckiego dwumotorowca. Dostrzegam go wkrótce, bo już robi się widno i niebo jest czyste. Poszedł na zachód, zawrócił i nadlatuje nad lotnisko. Wysokość śmiesznie mała, niebywała dotychczas—jakieś 1.500 do 2.000 mtr. Pojawia się drugi Niemiec. Nad nimi w górze trójka.

Artyleria grzmoci aż szyby dzwonią. Zaklekotały nawet działka i karabiny maszynowe. Niemiec niczym się nie przejmując dochodzi do lotniska. Zbombarduje—pomyślałem. Salwa bomb trzasnęła jak rozkawałkowany piorun. Dom zadygotał, zadrżał jak starowina, którego dobrze zirytowano. Druga salwa . . . trzecia.

Daremnie wypatruję w powietrzu "Moranów." Ani śladu. A jeszcze dwa tygodnie temu mówiłem do Rougevina. . . . Pokiwał głową i przyznał mi wtedy rację. Peteaux za to śmiał się z mego projektu jak szalony — "Dwa klucze w dyżurze od świtu!" — A wyśmiawszy się poklepał mnie protekcjonalnie po ramieniu i wytłumaczył poważnie niestosowność mojej propozycji:—"Cały personel byłby po dwóch tygodniach przemęczony."

Ubieram się połamany, schorowany, niewyspany i idę na lotnisko. Słońce tuż nad horyzontem. Ludzie pobudzili się i wykluwają się z domów. Pełno ich w pootwieranych drzwiach, oknach i na balkonach. Jakiś żołnierz pyta mnie, czy to samoloty niemieckie. Gdyby to był Polak, to odpowiedziałbym mu, że chińskie.

W głowie ciągle szum. Każda część ciała czuje się sama dla siebie panią, jakby ją całość nic nie obchodziła. Myślę, że tak będę się czuł, gdy będę umierał. I myślę, że to się nazywa na Śląsku "pierońskie szczęście." Akurat przylecieli, gdy mi dano zastrzyk. Gdy byłem w dobrej kondycji, wtedy trzymali się z takim uporem 8.000 mtr., jakby ich samoloty nie były zdolne do latania na innej wysokości.

Odwalam na piechotę trzy kilometry. Z niedobrymi przeczuciami wchodzę na lotnisko. Nie mylę się: trzy samoloty spalone doszczętnie, około dziesięciu uszkodzonych.

Biegnę do swojej maszyny. Lotnisko posiekane lejami. Aż pstrzy się od białych kupek popiołu. To zapalające jednokilówki. Mój grat wygląda cało. Już się zaczynam cieszyć, ale chorąży Zamiara, szef mechaników, wita mnie ziemistą twarzą i ponurym wzrokiem. Samolot oberwał solidnie i już w powietrze nie pójdzie. Stukilówka położyła się 15 metrów od śmigła. Cały przód wygląda jak sitko. Ale to głupstwo. Oba zbiorniki benzyny i oliwy ciekną. Cylindry poharatane odłamkami. Samolot Zantary wygląda podobnie jak mój; dostał się pomiędzy dwie bomby. Najlepiej jeszcze wyszła maszyna Flanka. Wykupiła się powierzchownymi zadrapaniami.

Wiadomość przez radio: Niemcy wkroczyli do Belgii, Holandii, Luksemburgu. Zbombardowano Brukselę i Amsterdam, a we Francji: Nancy, Lille, Lyon, Colmar, Pontoise i Luxeuil. Ponadto wszystkie lotniska przyfrontowe.

Po południu około trzeciej alarm. 9 maszyn idzie w powietrze. Grają karabiny, lecz bardzo wysoko, bo nic nie widać. Nad głową przelewa się jęk motorów. Po pół godzinie ląduje sierżant C. z maszyną posiekaną od kul na całej przestrzeni. Podaje, że zestrzelił trzy samoloty niemieckie. Jeden pilot nie wrócił.

13 maja.

Rano ląduje jakiś "Moran." Po wylądowaniu śmigło staje, pilot nie wychodzi. Mechanik zbliża się, zagląda do kabiny i woła sanitarkę. Pilot ranny w piersi, ostatkiem sił dowlókł się lotniska. Po wyłączeniu kontaktu zemdlał. W drodze do szpitala zmarł.

Wieczorem polecieliśmy osłaniać wyprawę bombową na front. Wpadliśmy w taką zamieć ognia z ziemi, że pomyślałem:—"Dwie trzecie z nas nie wróci." Wrócili wszyscy, choć kilku przywiozło kule w kadłubach i skrzydłach, a jeden z pilotów miał ogromne dziury w obu płatach od działek przeciwlotniczych.

Zantara wracając zabłądził i lądował w Belgii. Ogromnie przygnębieni. Nie mają sprzętu. Na lichego "Morana" patrzyli, jak na cudo z zachwytem, ba! z nabożeństwem.—"Oni czują się zupełnie jak my we wrześniu"—dodaje Zantara.

14 maja.

Byłem rano nad Namur. Wróciłem z szokiem wyobraźni. Tak bym się czuł prawdopodobnie po wyjściu z palarni opium. Widziałem całą ziemię i powietrze w ogniu. Nie ma co mówić, bo i tak tego nikt nigdy nie wypowie, ani odmaluje. Jeden z tamtej eskadry nie wrócił.

Po południu chodziliśmy dwa razy w powietrze. My bez rezultatu, druga eskadra miała ostre pranie. Kilku nie wróciło, ale były jakieś telefony, że ktoś gdzieś siedzi cało. Nie mogą doliczyć się swego stanu.

15 maja.

Niemcy prą ciągle naprzód. Namur i Liège podobno jeszcze się trzymają. Nasze samoloty topnieją w zastraszający sposób. Jak w Polsce. Prawie z każdej wyprawy na front ktoś nie wraca. Potem przychodzą wieści, że ktoś skapotował, ktoś wyskoczył na spadochronie. Piloci więc czasem wracają, maszyny nie. Ale ubywa i pilotów. Dziś rano dwóch nie wróciło, a z tych co wrócili, dwóch jest ciężko rannych, jeden w piersi, drugi w brzuch. Ten co dostał kulę w piersi, ma całą twarz pokaleczoną od rozprysków szkła.

W mieście ciągłe alarmy. Syrena z kościoła odległego o parę kroków nie daje żyć. Przez miasto przewalają się uchodźcy z Belgii. Jeszcze te luksusowe Pacardy i Chryslery nie robią wrażenia, ale mocno podniszczone wehikuły, załadowane po brzegi piernatami i tym wszystkim, co przeciętny człowiek miał najdroższego oddziaływują przygnębiająco.

16 maja.

Start w dwanaście maszyn na sektor Laon—Virvin. Co za lot! Wszystko, jak na filmie lub w bajce. Najpierw był jakiś szyk, potem nie było szyku, a potem nie było samolotów. Pogubiliśmy się w chmurach. Gdy zaczęliśmy się zbierać, przyszło 12 Dornierów osłanianych "Messerschmittami." Tych "Messerschmittów" z początku nikt nie widział. Była zabawa w koty i myszy pomiędzy chmurami. Role się zmieniały co minutę.

Dopadłem jednego bocznego i wsadziłem mu długą serię w brzuch. Wszedł zaraz w chmury i na tym zabawa się skończyła. Potem, gdy wylazłem z chmur, "Dorniera" nie było ani śladu, za to o włos nie zderzyłem się z innym "Moranem." Błysnął koło mnie i dmuchnął. Samolotem rzuciło. To zawsze daje niezapomniane ciarki i gorąco wzdłuż grzbietu. Potem mnie gonili i nie byłbym przysiągł, czy uciekałem przed "Messerchmittem," czy przed "Moranem." Widziałem długą pionową smugę w powietrzu po kimś, kto się zapalił i leżał już prawdopodobnie w ziemi.

Lądowałem na resztkach benzyny w Chambry. Tu stoi inny dywizjon myśliwski. Zaraz po wyjściu z samolotu częstują mnie szampanem. Już wiedzieli, że mieliśmy dobrą przeprawę. Skutków nikt nie zna. Sprzeczne wieści. Nie przepadam ostatnio za szampanem, ale teraz smakuje. Wychyliłem dobrą szklankę i poprosiłem jeszcze o połowę. Byłem podniecony i—co tu mówić—roztargany nerwowo. Po wypiciu od razu lepiej. Nerwy przedtem napięte, wyśrubowane w górę przeszły na drugą stronę. Nie znaczy to, że ukołysały się jak po wypoczynku, po śnie, że wróciły do poziomu. Tylko to co było drżeniem przykrym, stało się drżeniem przyjemnym, co było ciemne zaczęło błyszczeć.

Po powrocie dowiaduję się, że Corniglione walczył z pięcioma "Messerschmittami." Uciekł im, ale kadłub i skrzydła jego samolotu nadają się tylko do muzeum. Chodziłem to specjalnie oglądać. Zantara wspólnie z Lansoy zestrzelili "Heinkla 111." Więc były tam nie tylko same "Dorniery." Flanka i jednego podoficera francuskiego brak. Ktoś trzeci postrzelany skapotował w polu, ale czuje się dobrze.

17 maja.

Prowadzę 6 samolotów na Belgię. Nad Valenciennes "Dornier." Zwiał nam i nie było mowy, żeby go dogonić. Nad granicą belgijską drugi klucz związał się w walce z innym "Dornierem." — "Czy już nie ma innych Niemców w powietrzu tylko same Dorniery?"—pomyślałem.

Najgorzej okazuje się pomyśleć coś takiego. Od razu zobaczyliśmy 12 plus 18 plus 24 niemieckie bombowce. Aż czarno od nich. Tamten drugi klucz ciągle jeszcze się bawił tą jedną sierotą, a mnie diabli brali. Poszliśmy trochę wyżej i dostaliśmy się do nich od tyłu. W kilku atakach wysupłaliśmy się z amunicji, ale nie widziałem, żeby jakiś Niemiec poszedł w dół.

Wtedy na nas zaczęto jechać z góry. Nawet trudno powiedzieć, co to były za maszyny. Daliśmy nura na pełnym gazie. Czasem Opatrzność przysyła chmury akurat w porę. Po wyjściu straciłem tamtych dwóch i straciłem orientację.

Lecę, długo na zachód trzymając się starannie chmur. Po drodze masy wypraw niemieckich. Jak wyrojone pszczoły. Rozpacz być bez naboi w takich okolicznościach. Ani samemu nie uszczknąć, ani się obronić.—"Gdzie się podziewa lotnictwo francuskie i angielskie?"—pytam się w duchu. Wygląda na to, że na całym świecie nie ma innych samolotów tylko niemieckie.

Chwytam orientację w Amiens i zawracam na wschód. Lotnisko tutejsze pełne stojących maszyn. Przeważają "Potezy." Było niedawno bombardowane, bo widać leje po bombach jeszcze niespłowiałe od słońca. Szczęściem większość bomb położyła się w polu.

W Cambrai dowiaduję się, że pilot Francuz z mego klucza lądował przymusowo na dach chałupy. Pilotowi nic, z maszyny i chałupy drzazgi.

W godzinę po moim lądowaniu przychodzą bombowce niemieckie. Pięć bomb kładzie się na środku lotniska, dużo w polu. Uszkodzeń żadnych. Ludzie w schronie. Po kilkunastu minutach nowa wyprawa "Messerschmittów 110." Krążą wysoko pod słońcem; nie widać ich, ale po huku stwierdza się, że jest sporo. Co chwila któryś odrywa się od grupy i pikuje na dworzec. Najpierw przeczyszcza swoje karabiny maszynowe w długich seriach, a potem lokuje bomby. Wraca lotem koszącym tuż nad naszym lotniskiem i tylny jego obserwator ma trochę uciechy, także plując ogniem ze swojej wieżyczki po lotnisku.

Nasze maszyny nieuzupełnione i nikt nie uzupełnia, bo wszystko siedzi w schronie. Działa i karabiny maszynowe obrony przeciwlotniczej do pierwszego "Messerschmitta" nie strzelają, do drugiego strzelają trochę ale gdy pojawia się trzeci samolot, grzeją do niego, ile wlezie. Niestety tym trzecim okazuje się nie "Messerschmitt 110," ale "Potez." Całe szczęście, że nie trafili.

Za chwilę rozpoczyna się na lotnisku niebywały ruch. Pakują manatki.—"Nie róbmy paniki"—mówię do Zantary, a wtedy dowódca dywizjonu widząc mój spokój:—"Czy pan nie wie, że Niemcy mogą tu być lada chwila?"

Oczywiście nie wiedziałem. Ładna historia! Zwalam na łeb, na szyję swoje manatki do samochodu, potem ładuję się sam i samochód zaczyna pruć co każdy z jego mechanicznych koni wyskoczy.

Przelatujemy przez Cambrai. Żegnaj małe, zaciszne miasto! Właściwie było zaciszne. Teraz tumult, tłumy, panika. Ludzie opuszczają domy, sklepy, wszystko co mają. Na drogach sznury samochodów. Podobnie jak w Polsce. Tylko, że tu więcej dróg i mniej koni. Koszary płoną. Wygląda na to, że trafili tu nienaumyślnie, bo celowali oczywiście w most i śluzy przy koszarach. Na polach niewypały setek.

W pierwszym mieście za Cambrai trupy. Rozwalone domy, sklepy, dopalające się samochody. Ciała ludzkie zwęglone, okopcone, pół nagie przy drodze. W jednym miejscu tylko krwawa miazga ze strzępami ubrania świadczy o tym, że tu znajdował się niedawno człowiek.

Jedziemy dalej na zachód.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

Bez blackoutu

Wojna nerwów . . . Nie rozumieliśmy dobrze treści tego słowa, choć weszło ono do naszego słownictwa niemal od początku obecnej zawieruchy dziejowej. Wydaje mi się, że w tej chwili przeżywamy w wojnie nerwów okres największego nasilenia. Jest on równocześnie momentem najbardziej wytężonej ekwilibrystyki propagandowej Niemiec i Rosji. Są już "Wolni Niemcy" w Moskwie, "Wolni Niemcy" w Londynie i niewolni Polacy w Rosji. Dziwne. Paradoksy.

Wielką aktywność wykazuje antyhitlerowski związek generałów niemieckich na terenie Rosji. Przypuszczam, że nikt by się nie zdziwił, gdyby nagle, pewnego pięknego poranku, zaczął działać jakiś "Związek byłych Przyjaciół Caratu," jakichś "Wolnych Białogwardzistów" z ichnią Korniejczukową na czele. Paradoksy.

Włochy są w wojnie z Niemcami. Mussolini pod opieką Hitlera, Negus żąda głowy Badoglia, marszałka państwa "współwojującego" przy boku Wielkiej Brytanii i zjednoczonych narodów. Wszystko jest w tej wojnie możliwe.

Z tego wniosek, że dar przewidywania rzeczy należy obecnie do szczególnie cennych. Co do mnie przestałem sprzeciwiać się najbardziej fantastycznym przewidywaniom dyskutujących ze mną przyjaciół. Uważam, że np. wizja Puacza, idącego na czele jakiegoś zastępu "Wolnych Polaków" na zdobycie Strattonu z przyległościami i zaległościami, nie powinna zakłócać snu mieszkańcom tego gmachu. Przeciwnie. Takie "wizje" hartują i uodporniają. Trzeba i należy wyobrażać sobie krańcowo najgorsze możliwości, by móc cieszyć się potem średniodobrymi wynikami.

Może się okazać np. na jakiejś konferencji, powiedzmy w Tokio albo w Archangielsku /żeby bliżej było z Londynu i z Nowego Yorku/, że, że to my chcemy połowy obcego terytorium i nasza to wina, iż do tej pory nie zabraliśmy reszty pozostałych przy życiu rodaków z dalekiej Północy, którzy obciążają budżet biednej Republiki wyczerpanej wojną. Trzeba się i na to przygotować. Bo pomyślcie: jest w tym pewna metoda, zmierzająca do oszczędzenia tak częstych w tej wojnie rozczarowań lub przedwczesnych radości. To nie jest zalecanie pesymizmu, broń Boże, to raczej hasło "dmuchania na zimne," tym bardziej aktualne wobec wielu "poparzeń," których doznaliśmy do tej pory. Szczypta opanowania, pewna doza ostrożności to jedyne antydotum na "wojenne nerwy."

Ta wojna jest nie tylko okrutna, ale lubi płatać figle. Niedawno Polacy w Wielkiej Brytanii, ludzie, powiedzmy szczerze, na ogół wilkiem na siebie patrzący, niesklonni do wzajemnego objawiania uczuć — padali sobie w objęcia z okrzykami szczęścia, gdy przyszła wiadomość o ustąpieniu Mussoliniego. Potem drugi raz, gdy Mussoliniego internowano, a potem . . . Mussoliniego wykradziono i ci sami Polacy znowu wilkiem na siebie patrzą i już nie biorą się w ramiona. Oczywiście cała wina po stronie Mussoliniego. Gdyby go byli strażnicy zastrzelili, kto wie, czy śmierć "Il Duce" nie rzuciłaby np. Pruszyńskiego w ramiona Hemara i nie połączyła na wieki w jedną spółkę autorską. Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że w takim momencie Nowakowski po zawieszeniu polemik uściskałby z radości Kota.

Tak, niewątpliwie. Trzeba nam wielkich nowin, sensacji politycznych; spragnieni jesteśmy radości, sukcesów. Śpieszno nam . . . Gdy tylko dwa dni dłużej trwa zajmowanie Neapolu, aniżeli to przewidywał sam pan radca, w biurze budzą się wątpliwości, personel wpada w krańcowy pesymizm.

Jesteśmy niewątpliwie nerwowo wyczerpani wojną. Nic dziwnego. Ta "piatiletka" swoje zrobiła. Nachyleni nad większymi i mniejszymi mapami krążymy od Leningradu do Krymu, od Wołgi do Dniepru, wracamy tam i z powrotem po kilka razy na przestrzeni dwóch lat przez Briański, Rostowy, Charkowy i Wielkie Łuki, wysłuchujemy chciwie, do ostatniego słowa komunikatów radiowych, podziwiając znowu w tym roku talent speakerów brytyjskich, którzy szlachetny język angielski łamią sobie na Zaporożu i Dniepropietrowsku.

Mam jednego znajomego, który z wielką ulgą uroczyście schował do szafy mapę Afryki, gdy tylko skończyła się długa wędrówka — palca — przez Sidi Barani, Dernę, Benghazi, El Agheila tam i z powrotem. Mój Boże, pamiętam, ile to było radości w zimie 1941 roku, gdy pewnego dnia jeden z kolegów w czasie walk w Erytrei wbiegł z ważną wiadomością: "Kub-Kub w naszych rękach!" Dziś biedne małe Kub-Kub zapomniane przeżywa dni zasłużonego spokoju a nami ciągle jeszcze targają "nerwy wojenne," fascynują nas nowe nazwy.

Stoimy przed nową mapą: Włochy, Dodekanez, Bałkany. Niewątpliwie wojna zrobiła olbrzymi krok naprzód. Jest na kontynencie europejskim. Krok jest wielki. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, bo cierpliwość nasza jest mniejsza. Coraz mniejsza. Śpieszno nam.

W tych warunkach popełniamy szereg nienormalności. Nienormalnie się cieszymy i nienormalnie się zamartwiamy. Trzeba więc nam nasze nerwy doprowadzić do takiego stanu, by móc normalnie się martwić i normalnie cieszyć. Gdy wojska amerykańskie wkroczyły do Włoch, w niektórych biurach polskich stali przed mapami wypróbowani znawcy z ołówkami kolorowymi w ręku, i ustalili wkroczenie do Bukaresztu na 20 października, godzina 15.05.

Rzecz charakterystyczna: podobno pewna wojskowa instytucja edinburska, na ogół nie uznająca uczuciowych "wyczynów" tego właśnie dnia, w przystępie szału radości, wymieniła dwie dziurawe pary skarpetek żołnierskich /na nowe!/ dwom kapralom z wyższym wykształceniem i resztkami bielizny. Tak, tak. Lepsi i bardziej ludzcy stajemy się pod wpływem dobrych i radosnych wiadomości. Nic dziwnego. Wiadomości te zbliżają nas do domu, do rodziny, do bliskich serc.

Z prawdziwą radością, coraz więcej upewniać się zaczynam w przekonaniu, że nasze spory, gorycze i patrzenie wilkiem to tylko chwilowa, przemijająca choć ciężka choroba wojenna. To naturalna konsekwencja wojny, w której mało jeszcze było nagłych, porywających sukcesów.

Takie i podobne obserwacje pozwalają nam nosić ukrytą w sercu nadzieję pewnej przemiany charakterów i dusz ludzkich w chwili powrotu na ziemię ojczystą.

Angielska prasa pisze całkiem szczerze i otwarcie o wielkim przemęczeniu ludności Włoch; przestał być sekretem Himmlera fakt straszliwego przemęczenia Niemiec; wiwatami armatnimi zagrzewa Kreml zmęczone narody Związku Republik Radzieckich. Nasze zmęczenie jest zupełnie innego typu. Polacy w Wielkiej Brytanii są w doskonałej kondycji fizycznej, a przyczyny neurozy wiążą się ściśle z przymusowym pobytem w obcym środowisku, w obcym kraju, choć tak bardzo życzliwym, choć tak bardzo szlachetnym.

W naszą świadomość wkracza natomiast straszliwie prosta, codzienna myśl: "Co O n i mają powiedzieć? Cóż dopiero ma powiedzieć K r a j? Rabowany, prześladowany, głodny, celowo niszczony moralnie i fizycznie. Nie możemy nie podziwiać siły tajemnej, która pozwala ludziom w Kraju nie tylko trwać, ale w takich warunkach organizować, uczyć i walczyć. Tam na pewno osiągnięto równowagę uczuciową. Tam nauczono się nie cieszyć za wcześnie i nie smucić zbyt pochopnie. Tam uodporniły się charaktery w twardej szkole życia.

Powiedział któryś z lekarzy amerykańskich, że najtrudniejszym do wytrzymania nerwowo będzie trzeci rok wojny. Wydaje mi się, że ten ceniony Eskulap pomylił się równo o rok. Niewątpliwie będą jeszcze różne niespodzianki, ale dla nas Polaków przetrzymanie nerwowe /w dobrej formie, bez popełnienia błędów i nieroztropności/ sezonu zimowego 1943 i wiosennego 1944 wydaje się bardzo ważne, a może nawet decydujące.

I dlatego trzeba apelować dzisiaj do serc i uczuć ludzkich: Uśmiechnijmy się do siebie w domach i ogniskach polskich na terenie Wielkiej Brytanii, bądźmy życzliwi sobie w codziennej pracy. Zbliżmy się wzajemnie. W tym jest siła. Chyba . . . że ktoś już wniósł podanie o nadanie obywatelstwa brytyjskiego, a poczta pantoflowa mówi, że próśb takich wpłynęło ostatnio kilkanaście. Niech im wyspa lekka będzie.

WIKTOR BUDZYŃSKI

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII
za czas od 1.IX.1943 do 30.IX.1943

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:	Ilość wypraw: 22	Łączna ilość samolotów: 170
pewnych — 32	Główne cele: Bombardowanie Hannoweru i innych ośrodków.	
prawdopodobnych — 8	Minowanie wód npla i patrolowanie mórz.	
uszkodzonych — 18		

Razem od początku działań do 30.IX.1943 na terenie Anglii i Bliskiego Wschodu

Zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:	Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
pewnych — 605	617	5940
prawdopodobnych — 159		
uszkodzonych — 208		

Dywizjon w D-twie Obrony Wybrzeża prawdopodobnie zatopił 6 i uszkodził 7 okrętów podwodnych.

Skrzynka pocztowa

THE 1941 POLISH STAMPS

Sir.

No apology is necessary in presenting as the subject of this contribution the set of eight excellently engraved Polish stamps produced by Messrs. Bradbury, Wilkinson and Co. and issued on December 15th, 1941.

The postage stamps of Poland have always been popular with collectors in Great Britain. The very fine article by the late Lt.-Col. R. N. W. Larking, which appeared in "Gibbons Stamp Monthly," London, Volume 3, and which gained first place in the "Contents Ballot" in that magazine in 1931, is striking evidence of that fact.

It is not surprising that the very appropriate choice of subjects of the 1941 set has maintained, if not increased, the already high standard of popularity of the postage stamps of Poland. It is a set that should shame the Germans, if that is possible, in years to come.

It was most fitting that our Ally Poland should set a fashion in 1941 that had then no precedent in postal history. These stamps are unique in respect that they are valid for use only on board Polish sea-going vessels, and also on certain days of the year in Polish military camps in the United Kingdom for correspondence to be despatched via Polish ships.

Two other Allies, Norway and Jugo-Slavia, have since followed the example set by Poland, and issued stamps for use in a like manner.

It was only natural that the courageous Poles, whose country is at present, but only *temporarily*, occupied by the ruthless Nazi tyrants, should wish to signify in a tangible fashion their spirit of independence, and in what more fitting manner could that spirit be exemplified than by an issue of postage stamps.

The 5 Groszy violet and 10 Groszy green stamps, both of vertical design featuring the ruins of the Embassy of the United States in Warsaw, and the Ministry of Finance in Warsaw, September, 1939, respectively, stand as silent and striking evidence for all time to come of the wholesale devastation, destruction, misery, suffering and death wrought by the brutal and ruthless Germans in full anticipation of reducing free peoples to submission and consequent enslavement by that form of barbarianism.

Have the Germans ever paused at any time to reflect upon the passage in the Bible which reads: "As ye sow so shall ye reap"? but perhaps such a simple direction is beyond their type of mentality. Nevertheless, the truth of that passage is very much in evidence to-day. What was sown by the one-time greatly heralded German Luftwaffe in Warsaw, Rotterdam, Belgrade, London, Coventry, Merseyside, Clydeside and other parts from 1939 onwards is now being reaped in abundance in the German fatherland.

The 25 Groszy grey vertical stamp showing the monument to Poland's greatest poet, Mickiewicz, being thrown down from its pedestal by the Germans at Cracow in 1941, is striking testimony of the distorted mentality of the Nazi invaders.

The 55 Groszy royal blue stamp of horizontal formation pays tribute to the heroic resistance of the Poles against the enemy at Warsaw, which city was awarded the Virtuti Militari Cross, the highest Polish military decoration. At the top of this stamp in the centre this notable decoration is depicted, and the scene portrayed is the Castle Square in Warsaw, September, 1939, viewed through the ruins of a bombed house, and beams of charred wood.

The following three stamps, all of horizontal design, the 75 Groszy olive green, the 80 Groszy magenta, and the 1 Złoty indigo blue, featuring respectively the Polish Army, Polish Armoured Units, and the Polish Air Force in Great Britain, symbolize the spirit of comradeship between the peoples of Great Britain and Poland. These three stamps will stand as striking testimony before the world in years to come that the Polish fighting services did not consider surrender when France capitulated in 1940, but instantly decided to fight the enemy to the last man, if need be, along with their British comrades in this country. It must be remembered that this gallant decision was made at a time when to all the outside world Great Britain was doomed to certain and early defeat. Invasion of the British Isles appeared to be imminent, and the then comparatively small British Army and the then newly formed untrained Home Guard were ill-equiped. Conditions were such then that even the most super optimist would scarcely have dared to predict that an invading force in strength would have been successfully driven out of the country.

In the Battle of Britain, which was the prelude to the intended invasion, Polish airmen fought heroically along with British airmen and contributed in no small degree to the severe mauling inflicted upon the then mighty Luftwaffe, which turned invasion from a certainty into a now remote possibility.

During the first two years of this war the Polish Air Force accomplished no mean achievement by bringing down over 1,000 enemy planes. Poland is certainly an Ally to be proud of.

Last but not least worthy of mention is the 1 Złoty 50 Groszy vertical brown stamp, featuring the famous Polish submarine "Orzel," which outwitted the enemy and is representative of the Polish Navy fighting alongside the British Navy.

The Polish national emblem, the White Eagle, appears on all the stamps except the 55 Groszy value, and the famous "V" victory sign features on the four stamps representing the fighting services.

Altogether this is a very fine set of postage stamps with a special significance and historical future.

The Polish sea-post postmarks are very interesting, and the illustration represents the naval cancellation. The inscription in Polish, "Polska Marynarka Wojenna — Agencja Pocztowa," translated into English is "Polish Navy — Postal Agency." The merchant navy postmark is somewhat similar in design, but the inscription in Polish is "Polska Marynarka Handlowa — Agencja Pocztowa," the English equivalent of which is "Polish Merchant Navy — Postal Agency."

Long live the peoples of Great Britain and Poland, and may the spirit of comradeship between the peoples of both nations born of this war still flourish when the unhappy present is no more than an historical record of a mighty crusade for liberation that triumphed over formidable forces of evil and oppression.

James H. Tierney

POMOC Y.M.C.A. DLA JEŃCÓW POLSKICH

Szanowny Panie Redaktorze,

Numer 38-y "Polski Walczącej" podaje w liście pani Zofii Leszczyc informacje na temat pomocy jeńcom polskim w Niemczech. Zwraca to moją uwagę, szczególnie teraz, gdy widzę starania instytucji, organizacji lub osób na terenie Wielkiej Brytanii, podczas gdy do niedawna, patrzyłem lub korzystałem z tej działalności jako jeniec. Sprawy, o których zaczęło się nareszcie na emigracji pisać, będą niewątpliwie szerzej i bardziej wyczerpująco poruszane na łamach prasy, przez b. jeńców wojennych — uciekinierów.

Muszę wspomnieć o cennej, rzetelnej i serdecznej działalności na terenie obozów, w zakresie pomocy kulturalno-oświatowej. Już w r. 1939-40, Polska Y.M.C.A. z Warszawy, rozwiązana przez Niemców, ale czynna i pracująca społecznie na zasadzie "tymczasowego" zezwolenia, rozpoczęła w kraju zbiórkę książek dla obozów jenieckich i wysyłkę książki polskiej — tego "pogodnego przyjaciela" do rąk jeńców. Skatalogowane, oprawne, nowe lub używane książki, zaczęły zapełniać półki baraków lub świetlic jenieckich. Przez przeszło trzy lata, przebywając kolejno w Oflagach, Stalagach, lazaretach i szpitalach dla jeńców, byłem świadkiem jak wędrowały z rąk do rąk, szare książeczki opatrzone pieczątką: "Polska Y.M.C.A. — Biblioteka Jeńca Polskiego."

W roku 1940-41 pojawiły się inne ślady działalności Y.M.C.A. Z Komitetu Genewskiego przysłane zostały gramofony, oraz sprzęt sportowy. Rozpoczęły się również objazdy obozów przez delegata *World Prisoner's Aid Committee — Y.M.C.A.*, który przyjmował prośby i zlecenia jeńców w zakresie pomocy kulturalnej, dostarczał artystom narzędzi pracy artystycznej, a naukowcom dzieł specjalnych, encyklopedii i słowników — na indywidualne zapotrzebowania.

Była to cenna akcja, uwzględniająca potrzeby jeńca, który nie wyrzekł się życia umysłowego, mimo ciężkiej, stałej pracy fizycznej. Y.M.C.A. genewska dostarczała lektury beletrystycznej w językach angielskim, francuskim, niemieckim, a *Fonds Européens du Secours aux Etudiants* nawiązał z Szwajcarii kontakty ze studentami polskimi znajdującymi się w niewoli i wypełniał solidnie i szybko wszelkie ich prośby.

W obozach zrzeszających kilkuset ludzi, nie czuło się braku książki, bo już istniały tam z reguły polskie biblioteki o urozmaiconym księgozbiorze. Tam docierała zawsze dbałość Y.M.C.A. o życie kulturalne odciętych od świata, zmuszonych do prymitywnego życia żołnierzy Stalagu lub wygodniej zamieszkałych, lecz przymusowo bezczynnych oficerów.

Jerzy Czerwiński

ZE ŚRODKOWEGO WSCHODU

Kochany Panie Redaktorze,

W nr. 31 "Polski Walczącej" z dnia 7.VIII.43 w wykazie rodzin znajdujących się w Z.S.R.R. Akmolinskaja Obłast, znalazłem umieszczoną moją rodzinę, pod poz. 13 rejonu Zerenda, a mianowicie żonę Szołomicką Marię i córki Ninę i Anastazję. Ponieważ jest to dla mnie pierwszy oficjalny ślad o istnieniu mojej rodziny w Z.S.R.R., której nie widziałem od 1939 roku, oraz że znalazłem go w naszym ulubionym piśmie, przeto posyłam tą drogą moje najserdeczniejsze podziękowania Panu Redaktorowi i całej Redakcji. Pan Redaktor raczy wybaczyć, że może nie umiem wyrazić mojej wdzięczności tak jak by się należało, lecz niech Pan wierzy, że są one najlepsze, żołnierskie.

Z głębokim szacunkiem

Michał Szołomicki /Middle East/

Dla Polaków w Rosji: £10,010

W załączeniu przesyłam P.O. na kwotę £2.15.6 złożoną w miesiącu wrześniu przez niżej wymienionych pacjentów Oddziału Polskiego w Hairmyres Hospital East Kilbridge z przeznaczeniem na pomoc dla Polaków w Rosji.

Por. J. sh.2.6, ppor. G.M. sh.10, mar. R.K. sh.2.6, plut. P.M. sh.2, inw. J.S. sh.8, inw. O. sh. 2.6, inw. J.E. sh.10, inw. P.Z. sh.2, inw. S.T. sh.1, inw. Wiernusz Władysław sh.15.

Z.P. Intendent

* * *

W załączeniu przesyłam money order na kwotę £30 /słownie £ trzydzieści/, zebraną wśród oficerów garnizonu T . . . na pomoc dzieciom polskim.

II Zastępca D-cy Pułku W.P. major

* * *

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na Terenie R.A.F. Maintenance Command—na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu wrześniu 1943 r. kwotę £11.0.6.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej" w Londynie,

Zamiast kwiatów na trumnę śp. Pająk Józefa 1 Kompania Sanitarna przeznacza na Fundusz pomocy dzieciom polskim w Rosji £2.4.0. Money Order załączam.

Dowódca 1 Kompanii Sanitarnej Dr. J., kpt. lek.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £46 /słownie czterdzieści sześć funtów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do 10,010.16.4 /słownie: dziesięć tysięcy dziesięć funtów, szesnaście szylingów i cztery pensy/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

* * *

Na podstawie uchwały Zebrania Koleżeńskiego oficerów Pociągu Pancernego D. Mjr. O. wpłacił do Kasy Polskiego Czerwonego Krzyża £30 na Fundusz Pomocy Jeńcom i £56.8.6 na pomoc Polakom w Rosji.

Zbiórka książek

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam kilkanaście książek zebranych wśród kolegów dla naszych kolegów — żołnierzy, przebywających na Wschodzie.

J. O. Bożenko

Załączone: J. Kisielewski: "Ziemia gromadzi prochy." M. Norwid Neugebauer: "Kampania wrześniowa 1939 w Polsce." "Basic English." St. Żeromski: "Wiatr od morza." Z. Nowakowski: "Przylądek dobrej nadziei." "Kalendarz P.C.K." B. Wdały: "Niemcy w Polsce." /2 egz./ St. Ordon: "Łuna nad Warszawą" /4 egz./. E. Ligocki: "Złota chorągiew" /7 egz./ i 9 broszur.

* * *

Bezimiennie 30 tygodników dla świetlic żołnierskich na Bl. Wschodzie.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej" w Londynie,

Przesyłam książki dla żołnierzy polskich na Wschodzie, a mianowicie: "Walki w obronie granic," "Północne podróże podhalańskie," "1000 słów po angielsku," "Basic English."

Jadzia

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Zgodnie z apelem "Polski Walczącej" przesyłam jeden egz. "Drugiego frontu" dla żołnierzy na Bliskim Wschodzie.

Z poważaniem

Kpt. H.P.

* * *

Dla Braci — żołnierzy na Bliskim Wschodzie: St. Mackiewicz: "Klucz do Piłsudskiego." K. Wojciechowski: "Dzieje literatury polskiej."

por. D.A.

Dla jeńców: "paczki od serca"

Niniejszym przesyłam M.O. na £2 pod adresem "Polski Walczącej" na "paczki od serca."

W. Tomczyszyn

* * *

Z okazji osobistej 23-ciej rocznicy, zamiast lampki wina w gronie kolegów przesyłam M.O. na £10.10.0 z przeznaczeniem na pomoc jeńcom polskim w Niemczech.

Kpt. Edward K.

* * *

W załączeniu przesyłam czek na £7 sh.4 na pomoc dla jeńców polskich w Niemczech.

Kwota powyższa stanowi nieprzyjęte honorarium za opracowanie lekcji języka polskiego w ramach Korespondencyjnego Kursu Technicznego.

Zygmunt Nagórski, jr.

* * *

Załączam "Postal Order" na sumę 1 funta, z przeznaczeniem na pomoc dla polskich jeńców w Niemczech.

Z poważaniem

M.G.

* * *

V. Kurs Szkoły Podchorążych piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej w dniu zakończenia Szkoły, przekazuje za moim pośrednictwem £17.13.9½ /słownie: funtów siedemnaście, trzynaście szylingów i 9½d./ na paczki gwiazdkowe dla polskich jeńców w Niemczech.

Oficer oświatowy S.P.P.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwalam sobie przesłać Panu w załączeniu sh.20, które zebrali moi goście w dniu moich imienin na "paczki od serca" dla jeńców wojennych w Niemczech.

Pozostaję z wyrazami szacunku

Z.K.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £39.7.9½ /słownie trzydzieści dziewięć funtów, siedem szylingów, dziewięć i pół pensa/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na pomoc Jeńcom za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £861.14.7 /słownie osiemset sześćdziesiąt jeden funtów, czternaście szylingów i siedem pensów/ i 50 milrejsów.

POSZUKIWANI

dalszy ciąg wykazu nr. 33.

Osoby te jak również ich znajomi, posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

7. **Cech** Henryk, zmobil. w 1939 r. był w Ostaszkowie — poszukiwany przez żonę Bronisławę i córkę Krystynę /3800/29/ w Rosji.

8. **Chaja** Stanisław, był w Ostaszkowie — poszukiwany przez żonę Antoninę, córkę Leokadię, synów Czesława i Zygmunta w Rosji /3800/29/.

10 **Chmiel** Bronisław, był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Aleksandrę, synów Edwarda i Tadeusza w Rosji /3800/29/.

11. **Ćwiek** Teofil, plut. — poszukowany przez żonę Bronisławę i córkę Lidię w Rosji /3800/27/.

12. **Cydzik** Zygmunt, ppor. był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Zofię 1911 r. córkę Alicję 1934 r. Zbigniewa 1935 r. w Rosji /3800/20/.

13. **Czeczott** Piotr, chorąży — poszukiwany przez żonę Apolonię 1900 r. w Rosji /3800/20/.

14. **Debczuk** Stanisław, st. ogn. — poszukiwany przez żonę Konradę, córkę Krystynę, syna Stanisława w Rosji /3800/35/.

15. **Denyszyn** Cyryl, zmobil. 1939 r. był w Ostaszkowie — poszukiwany przez żonę Aleksandrę i syna Jana w Rosji /3800/29/.

16. **Domoradzki** Tadeusz, por. był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Helenę i syna Tadeusza w Rosji /3800/29/.

17. **Fiedorowicz** albo Fieodorowicz Roman, mjr. — poszukiwany przez żonę Marię, córkę Grażynę, synów Ryszarda i Mirosława w Rosji /3800/19/.

18. **Giwer** Witold, plut. — poszukiwany przez żonę Marię 1908 r. w Rosji /3800/21/.

19. **Gołębiowski** Zygmunt, chorąży — poszukiwany przez żonę Helenę, córkę Helenę i syna Waldemara w Rosji /3800/20/.

20. **Handel** Jan, zamieszkały przed wojną w Ostrowcu, pow. Lubaczów — poszukiwany przez Kappel Antoniego P/105 /5434/.

21. **Hołłaj** Salomon, ppor. — poszukiwany przez żonę Józefę, córkę Elwirę, syna Aleksandra, matkę Sarę, brata Aleksandra w Rosji /3800/19/.

22. **Kappel** Michał, zamieszk. przed wojnę Lisic Jasny, pow. Lubaczów — poszukiwany przez Kappel Antoniego P/105 /5434/.

23. **Kapsa** Florian, por. był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Janinę w Rosji /3800/28/.

24. **Komornicki** Stanisław, mjr. był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Izabelę syna Jacka, córki: Izabelę i Marię w Rosji /3800/29/.

25. **Kowalko** Jan, st. sierż. — poszukiwany przez żonę Ksenię, córkę Jadwigę, w Rosji, syna szer. Edwarda w Iraku /3800/21/.

26. **Kozłowski** Julian, szer. był w Ostaszkowie — poszukiwany przez żonę Janinę w Rosji /3800/20/.

27. **Krasłowski** Aleksander, sierż. — poszukiwany przez żonę Helenę w Rosji /3800/27/.

28. **Krawcewicz** Jan, szer. — poszukiwany przez rodziców: Bazylego i Anielę w Rosji /3800/19/.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Dwa tygodnie Walenty
O przepustkę się starał,
Aż się znalazł nareszcie
Sam na sam w Edynbara.
Już na dworcu, na wstępie,
Został trochę wstrząśnięty,
Zapisano go bowiem,
Że ma kołnierz odpięty.
Aby humor poprawić
Wypił whisky drobinkę
I zaprosił do kina
Miłą, szkocką dziewczynkę.



Z kina — prosto na dancing.
Tam do Szkotki rzekł: będę
Twoim wiernym, oddanym,
Zaufanym boy-friendem.
Gdy mnie jutro odwiedzisz
— Rzekła Pompki bogdanka —
To cię spotka rzecz miła.
Będzie to . . . niespodzianka.
Lecz nazajutrz Walenty
Ze zdziwienia zzieleniał:
Szkocka girl mu wręczyła
Kartę Armii Zbawienia . . .

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

Ktokolwiek zna adres p. RÓŻY BASIŃSKIEJ wywiezionej w r. 1939 ze Lwowa w rejon Archangielska, proszony jest o podanie wiadomości do Redakcji "P.W."

* * *

1. Wszystkie osoby mogące dać jakąkolwiek wiadomość o rodzinie WOLF DROCK /recte/ LAUER lub o mgr. praw BEZALEL LAUER, jego żonie i dziecku, pochodzących ze Złoczowa, woj. Tarnopolskie jak również,

2. ABITURIENCI GIMN. im. Kr. JANA SOBIESKIEGO z lat 1934 i 1935 w Złoczowie, proszeni są o zgłoszenie się pod adresem: Mr. Fabian Lauer, c/o David Turoff, 29, Charles Str., Wilkes-Barre, Pa., U.S.A.

Pan TADEUSZ PRUS BUGAYSKI proszony jest o podanie aktualnego adresu.

ZAPROSZENIE

Zarząd ZRZESZENIA EWANGELIKÓW POLAKÓW W W. BRYTANII, zaprasza niniejszym wszystkich Polaków-Ewangelików do wzięcia udziału w

ZJEŹDZIE I WALNYM ZEBRANIU

które odbędą się w sobotę i niedzielę, dnia 30 i 31 października b.r. w HOLY TRINITY CHURCH, KINGSWAY, LONDON, W.C.2.

Zgłoszenia należy kierować na ręce sekretarza Zrzeszenia, 100, Eamont Court, Mackennal Street, London, N.W.8. Wszyscy członkowie Zrzeszenia otrzymają osobne zawiadomienia jakoteż programy Zjazdu i Walnego Zebrania.

KOMUNIKAT

Dnia 22 października 1943, o godz. 18.15, w lokalu 32, Chesham Place, S.W.1, Koło Londyńskie Związku Ziem Północno-Wschodnich urządza zebranie dla członków i sympatyków, na którym zostanie wygłoszony odczyt na interesujący temat aktualny.

* * *

Poszukuję Regulaminu Kawalerii sprzed roku 1939 celem wypożyczenia lub kupna. Zgłoszenia z podaniem warunków proszę kierować pod następującym adresem: Wydział Prac Kulturalno-Oświatowych Ministerstwa Obrony Narodowej, Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.